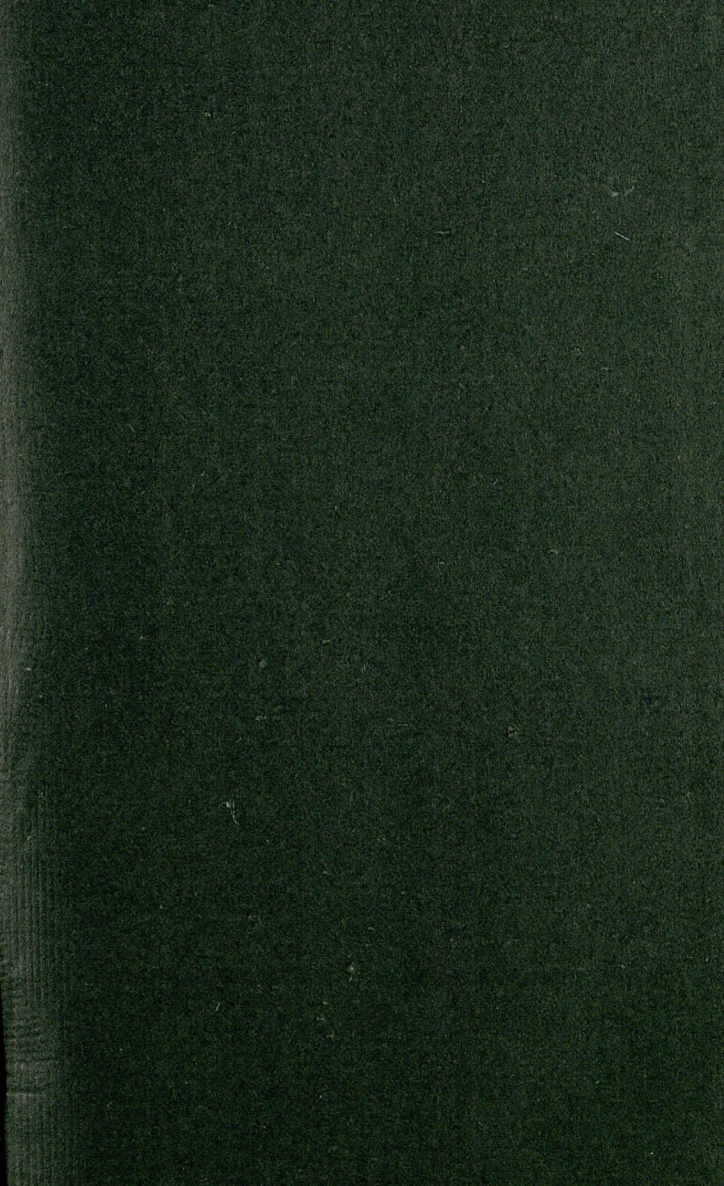


# **PAN TADEUSZ.**

---


**TOM PIERWSZY.**







**PAN TADEUSZ.**



W TYPOGRAFJI A. PINARD,  
PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE . 15.





A. MICKIEWICZ.

Pedług Medalionu wykonanego w Wewnarze 1840  
przez P. Dawida Członka Instytutu Francyi.

*Stefanowi Witwickiemu &  
jemuż towarzyszom i przyniciel  
Antonowi Olaszyńskiemu.*



**PAN  
TADEUSZ**

CZYLI

**OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.**

**Historja szlachecka**

z r. 1811 i 1812,

WE DWUNASTU KSIĘGACH, WIERSZEM,

*przez*

**ADAMA MICKIEWICZA.**

—  
**TOM PIERWSZY.**

—  
Wydanie Alexandra Jejomickiego,

z POPIERSIEM AUTORA.  
—

**PARYŻ.**

1834.



# KSIEGA PIÉRWSZA.



# GOSPODARSTWO.

---

## TREŚĆ.

Powrot panicza — Spotkanie się pierwsze w pokoiku, drugie u stołu  
— Ważna Sędziego nauka o grzeczności — Podkomorzego uwagi  
polityczne nad modami — Początek sporu o Kusego i So-  
kóła — Żale Wojskiego — Ostatni Woźny Trybunału  
— Rzut oka na ówczesny stan polityczny Litwy i  
Europy.

---

Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie  
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.

Panno święta, co jasnej bronisz Czętochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy

Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!  
 Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,  
 (Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę  
 Oliarowany, martwą podniosłem powiekę;  
 I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu  
 Iść za wrócone życie podziękować Bogu;)

Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono.  
 Tymczasem przenoś moją duszę utęsknioną  
 Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,  
 Szeroko nad błękitnym Niemnem rościagnionych;  
 Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,  
 Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;  
 Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,  
 Gdzie panicńskim rumieńcem dzięcielina pała,  
 A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą  
 Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Sród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,  
 Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,  
 Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;  
 Świeciły się zdaleka pobielane ściany,  
 Tęm bielsze że odbite od ciemnej zieleni

Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.  
 Dóm mieszkalny niewielki lecz zewsząd chędogi,  
 I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi  
 Użątku, co pod strzechą zmieścić się niemoże;  
 Widać że okolica obfita we zboże,  
 I widać z liczby kopie, co wzdłuż i wszecz smugów  
 Świecą gęsto jak gwiazdy; widać z liczby pługów  
 Orzących wczesnie łany ogromne ugoru  
 Czarnoziemne, zapewne należne do dworu,  
 Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek :  
 Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.  
 Brama na wciąż otwarta przechodniom ogłasza,  
 Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Właśnie dwókonną bryką wjechał młody panek  
 I obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek,  
 Wsiadłs powozu; konie porzucone same,  
 Szczypać trawę ciągnęły powoli pod bramę.  
 We dworze pusto : bo drzwi od ganku zamknięto  
 Zaszczepkami, i kołkiem zaszczepki przetknięto.  
 Podróżny do folwarku nie biegł sług zapytać,  
 Odmknął, wbiegł do domu, pragnął go powitać.

Dawno domu niewidział; bo w dalekiem mieście  
 Kończył nauki, końca doczekał nareszcie.  
 Whiega i okiem chciwie ściany starodawne  
 Ogląda czule, jako swe znajome dawne.  
 Też same widzi sprzęty, też same obicia,  
 S którymi się zabawiać lubił od powicia;  
 Lecz mniej wielkie, mniej piękne niż się dawniej zdały.  
 I też same portrety na ścianach wisiały.  
 Tu Kościuszko w czamarce krakowskiej, z oczyma  
 Podniesionemi w niebo, miecz oburącz trzyma;  
 Takim był gdy przysięgał na stopniach ołtarzów,  
 Że tym mieczem wypędzi s Polski trzech mocarzów,  
 Albo sam na nim padnie. Dalej w polskiej szacie  
 Siedzi Rejtan żałośny po wolności stracie,  
 W ręku trzyma nóż ostrzem zwrócony do łona,  
 A przed nim leży Fedon i żywot Katona.  
 Dalej Jasiński młodzian piękny i posępny;  
 Obok Korsak towarzysz jego nieodstępny  
 Stoją na szaniecach Pragi, na stosach moskali  
 Siekąc wrogów a Praga już się w koło pali.  
 Nawet stary stojący zegar kurantowy  
 W drewnianej szafie poznał, u wniścia alkowy;



I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,  
By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek.

Biegał po całym domu i szukał komnaty  
Gdzie mieszkał dzieckiem będąc, przed dziesięciu laty  
Wchodzi, cofnął się, toczył zdumione źrenice  
Po ścianach; w tej komnacie mieszkanie kobiece?  
Któżby tu mieszkał? stary stryj niebył żonaty;  
A ciotka w Petersburgu mieszkała przed laty.  
To niebył ochmistrzyni pokoj? Fortepiano?  
Na niem noty, i książki; wszystko porzucano  
Niedbale i bezładnie; nieporządek miły!  
Niestare były rączki co je tak rzuciły.  
Tuż i sukienka biała, świeżo s kołka zdjęta  
Do ubrania, na krzesła poręczu rospięta.  
A na oknach donice s pachnącemi ziołki,  
Gieranium, lewkonia, astry i fijołki.  
Podróżny stanął w jedném z okien — nowe dziwo:  
W sadzie, na brzegu niegdyś zarosłym pokrzywą  
Był małeńki ogródek ścieszkami porznięty,  
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.  
Drewniany drobny w cyfrę powiązany płotek

Połyskał się wstażkami jaskrawych stokrotek.  
 Grządki widać że były świeżo polewane;  
 Tuż stało wody pełne naczynie blaszane,  
 Ale nigdzie niewidać było ogrodniczki;  
 Tylko co wyszła; jeszcze kołyszą się drzewiczki  
 Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki  
 Na piasku, bez trzewika była i pończoszki,  
 Na piasku drobnym, suchym, białym nakształt śniegu;  
 Ślad wyraźny lecz lekki, odgadniesz że w biegu  
 Chybkim był zostawiony nożkami drobnymi  
 Od kogoś, co zaledwie dotykał się ziemi.

Podróżny długo w oknie stał patrząc, dumając,  
 Wonnemi powiewami kwiatów oddychając,  
 Oblieze aż na krzaki sijołkowe skłonił,  
 Oczyma ciekawemi po drożynach gonił,  
 I znowu je na drobnych śladach zatrzymywał,  
 Myślał o nich i czyje były odgadywał.  
 Przypadkiem otzy podniosł, i tuż na parkanie  
 Stała młoda dziewczyna — białe jej ubranie  
 Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
 Odsłaniając ramiona i łabędzią szyję.

W takim Litwinka tylko chodzić zwykła z rana,  
 W takim nigdy niebywa od mężczyzny widziana;  
 Więc choć świadka nie miała, założyła ręce  
 Na piersiach, przydawając zasłony sukience.  
 Włos w pukle nierozwity, lecz w węzełki małe  
 Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,  
 Dziwnie ozdabiał głowę, bo od słońca blasku  
 Świecił się, jak korona na świętych obrasku.  
 Twarzy nie było widać, zwrócona na pole  
 Szukała kogoś okiem, daleko, na dole;  
 Ujrzała, zaśmiała się i klasnęła w dłonie,  
 Jak biały ptak zleciała s parkanu na błonie,  
 I wionęła ogrodem, przez płotki, przez kwiaty,  
 I po desce opartej o ścianę komnaty,  
 Nini spostrzegł się, wleciała przez okno, świecąca,  
 Nagła, cicha i lekka, jak światłość miesiąca.  
 Nócąc chwyciła suknie, biegła do zwierciadła;  
 W tem ujrzała młodzieńca i z rąk jej wypadła  
 Suknia, a twarz od strachu i dziwu pobladła.  
 Twarz podróżnego barwą spłonęła rumianą,  
 Jak obłok gdy z jutrzenką napotka się raną;  
 Skromny młodzieniec oczy zmrużył i przysłonił,

Chciał coś mówić, przepraszać, tylko się uklonił  
 I cofnął się; dziewczica krzyknęła boleśnie,  
 Niewyraźnie, jak dziecko przestraszone we śnie;  
 Podróżny zląkł się, spojrział, lecz już jej niebyło,  
 Wyszedł zmieszany i czuł że serce mu biło  
 Głośno, i sam nie wiedział czy go miało śmieszyć  
 To dziwaczne spotkanie, czy wstydić, czy cieszyć.

Tymczasem na folwarku nieuszło baczności,  
 Że przed ganek zajechał któryś z nowych gości.  
 Już konie w stajnię wzięto, już im hojnie dano  
 Jako w porządnym domu i obrok i siano:  
 Bo Sędzia nigdy niechciał, według nowej mody,  
 Odsyłać konie gości żydom do gospody.  
 Słudzy niewyszli witać, ale niemyśl wcale  
 Aby w domu Sędziego służono niedbale;  
 Słudzy czekają nim się Pan Wojski ubierze,  
 Który teraz za domem urządzał wieszczkę.  
 On Pana zastępuje i on w niebytności  
 Pana, zwykł sam przyjmować i zabawiać gości;  
 (Daleki krewny pański i przyjaciel domu).  
 Widząc gościa na folwark dążył pokryjomu;

(Bo niemógł wyjść spotykać w tkackim pudermanie,)  
 Wdział więc jak mógł najprędzej niedzielne ubranie  
 Nagotowane z rana, bo od rana wiedział,  
 Że u wieczerzy będzie z muóstwem gości siedział.

Pan Wojski poznał zdala, ręce roskrzyżował  
 I s krzykiem podróznego sciskał i całował;  
 Zaczęła się ta prętka, zmieszana rozmowa,  
 W której lat kilku dzieje chciano zamknąć w słowa  
 Krótkie i poplątane, w ciąg powieści, pytań,  
 Wykrzykników i westchnień i nowych powitań.  
 Gdy się Pan Wojski dosyc napytał, nabadał,  
 Na samym końcu dzieje tego dnia powiadał.

• Dobrze mój Tadeuszu, • (bo tak nazywano  
 Młodzieńca, który nosił Kościuszkowskie miano  
 Na pamiątkę, że w czasie wojny się urodził,)  
 • Dobrze mój Tadeuszu, żeś się dziś nagodził  
 Do domu, właśnie kiedy mamy panien wiele.  
 Stryjaszek myśli wkrótce sprawić ci wesele;  
 Jest s czego wybrać; u nas towarzystwo liczne  
 Od dni kilku zbiera się na sądy graniczne,

Dla skończenia dawnego s Panem Hrabią sporu,  
 I Pan Hrabia ma jutro sam zjechać do dworu ;  
 Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.  
 Młodzież poszła do lasu bawić się strzelbami,  
 A starzy i kobiety żniwo oglądają  
 Pod lasem, i tam pewnie na młodzież czekają.  
 Pójdziemy jeśli zechcesz, i wkrótce spotkamy  
 Stryjaszka, Podkomorstwo i szanowne damy. •

Pan Wojski s Tadeuszem idą pod las drogą  
 I jeszcze się dowoli nagadać niemogą.  
 Słońce ostatnich kresów nieba dochodziło,  
 Mniej silnie ale szerzej niż we dnie świeciło,  
 Całe zaczerwienione, jak zdrowe oblicze  
 Gospodarza, gdy prace skończywszy rolnicze  
 Na spoczynek powraca : już krąg promienisty  
 Spuszcza się na wierzch boru, i już pomrok mglisty  
 Napełniając wierzchołki i gałęzie drzewa,  
 Cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa ;  
 I bór czernił się nakształt ogromnego gmachu,  
 Słońce nad nióm czerwone jak pożar na dachu ;  
 Wtém zapadło do głębi ; jeszcze przez konary

Błysnęło, jako świeca przez okienie szpary,  
 I zgasło. I wnet sierpy gromadnie dzwoniące  
 We zbożach, i grabliska suwane po łące,  
 Ucichły i stanęły : tak Pan Sędzia każe,  
 U niego ze dniem kończą pracę gospodarze.  
 « Pan świata wie jak długo pracować potrzeba ;  
 « Słońce Jego robotnik kiedy znidzie z nieba,  
 « Czas i ziemianinowi ustępować s pola. »  
 Tak zwykł mawiać Pan Sędzia; a Sędzięgo wola  
 Była Ekonomowi pocziwemu świętą,  
 Bo nawet wozy, w które już składać zaczęto  
 Kopę żyta, niepełne jadą do stodoły ;  
 Cieszą się z niczwyczajnej ich lekkości woły.

Właśnie z lasu wracało towarzystwo całe,  
 Wesoło lecz w porządku ; naprzód dzieci małe  
 Z dozorcą, potem Sędzia szedł s Podkomorzyną,  
 Obok pan Podkomorzy otoczon rodziną ;  
 Panny tuż za starszemi, a młodzież na boku ;  
 Panny szły przed młodzieżą o jakie pół kroku,  
 (Tak każe przyzwoitość) nikt tam nie rozprawiał  
 O porządku, nikt męszczyzn i dam nie ustawiał,

A każdy mimowolnie porządku pilnował.  
 Bo Sędzia w domu dawne obyczaje chował,  
 I nigdy nie dozwalał, by chybiano względu  
 Dla wieku, urodzenia, rozumu, urzędu ;  
 Tym ładem, mawiał, domy i narody słyną,  
 Z jego upadkiem domy i narody giną.  
 Więc do porządku wykli domowi i słudzy ;  
 I przyjezdny gość, krewny albo człowiek cudzy  
 Gdy Sędziego nawiedził, skoro pobył mało,  
 Przejmował zwyczaj, którym wszystko oddychało.

Krótkie były Sędziego s synowcem witania,  
 Dał mu poważnie rękę do pocałowania  
 I w skroń ucałowawszy uprzejmie pozdrowił ;  
 A choć przez wzgląd na gości niewiele z nim mówił,  
 Widać było z łez, które wylotem kontusza  
 Otarł prędko, jak kochał Pana Tadeusza.

W ślad gospodarza wszystko ze żniwa i z boru  
 I z łąk i s pastwisk razem wracało do dworu.  
 Tu owice trzoda becząc w ulicę się tłoczy  
 I wznosi chmurę pyłu ; dalej z wolna kroczy



Stado ciele tyrolskich z mosiężnemi dzwonki  
 Tam konie rżące lecą ze skoszonej łąki;  
 Wszystko bieży ku studni; której ramie z drzewa  
 Raz wraz skrzypi i napój w koryta rozlewa:

Sędzia choć utrudzony, chociaż w gronie gości,  
 Nie chybił gospodarskiej, ważnej powinności,  
 Udał się sam ku studni; najlepiej z wieczora  
 Gospodarz widzi w jakim stanie jest obora,  
 Dozoru tego nigdy sługom nie poruczy,  
 Bo Sędzia wie że oko pańskie konia tuczy.

Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni  
 Stali i rozprawiali nieco poróżnieni,  
 Bo w niebytność Wojskiego Woźny pokryjomu  
 Kazał stoły z wieczerną powynosić z domu,  
 I ustawić co prędzej w pośrodku zamezyska,  
 Którego widne były pod lasem zwaliska.  
 Po cóż te przenosiny? Pan Wojski się krzywił  
 I przeproszał Sędziego; Sędzia się zadziwił,  
 Lecz stało się; już późno i trudno zaradzić,  
 Wolał gości przeprosić i w pustki prowadzić.

Po drodze Woźny ciągle Sędziemu tłumaczył,  
 Dla czego urządzenie pańskie przeinaczył;  
 We dworze żadna izba nie ma obszerności  
 Dostatecznej dla tylu, tak szanownych gości,  
 W zamku sień wielka jeszcze dobrze zachowana,  
 Sklepienie całe — wprawdzie pękła jedna ściana,  
 Okna bez szyb, lecz latem nie to nie zawadzi;  
 Bliskość piwnic wygodna służącej czeladzi.  
 Tak mówiąc, na Sędziego mrugał; widać z miny,  
 Że miał i taił inne ważniejsze przyczyny.

O dwa tysiące kroków zamek stał za domem,  
 Okazały budową, poważny ogromem,  
 Dziedzictwo starożytnej rodziny Horeszków;  
 Dziedzic zginął był w czasie krajowych zamieszków.  
 Dobra całe zniszczone sekwestrami rządu,  
 Beźładnością opieki, wyrokami sądu,  
 W części spadły dalekim krewnym po kądzieli,  
 A resztę rozdzielono między wierzycieli.  
 Zamku żaden wzięść nie chciał, bo w szlacheckim stanie  
 Trudno było wyłożyć koszt ua utrzymanie;  
 Lecz Hrabia sąsiad bliski, gdy wyszedł z opieki,

Panicz bogaty, krewny Horeszków daleki,  
 Przyjechawszy z wojażu upodobał mury  
 Tłumacząc, że gotyckiej są architektury ;  
 Choć Sędzia z dokumentów przekonywał o tém,  
 Że Architekt był majstrem z Wilna nie zaś Gotem.  
 Dość że Hrabia chciał zamku, właśnie i Sędziemu  
 Przyszła nagle też chętka, nie wiadomo czemu.  
 Zaczęli proces w ziemstwie, potem w głównym sądzie,  
 W senacie, znowu w ziemstwie i w guberskim rządzie ;  
 Wreszcie po wielu kosztach, i ukazach licznych,  
 Sprawa wróciła znowu do sądów granicznych.

Słusznie Woźny powiadał że w zamkowej sieni  
 Zmieści się i palestra i goście proszeni.  
 Sień wielka jak refektarz, z wypukłym sklepieniem  
 Na filarach, podłoga wysłana kamieniem,  
 Ściany bez żadnych ozdób, ale mur chędogi ;  
 Sterczały wkoło sarnie i jelenie rogi  
 Z napisami: gdzie, kiedy te łupy zdobyte;  
 Tuż myśliwców herbowne klejnoty wyryte,  
 I stoi wypisany każdy po imieniu ;  
 Herb Horeszków Półkoczic jaśniał na sklepieniu.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem ;  
 Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem ;  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży.  
 Przy nim stał kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie.  
 Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,  
 Mężczyznom dano wódkę ; wtenczas wszyscy siedli,  
 I chołdziec litewski mileząc zwawo jedli.

Pan Tadeusz choć młodzik, ale prawem gościa,  
 Wysoko siadł przy damach obok Jegomościa ;  
 Między nim i stryjaskiem jedną pozostało  
 Puste miejsce, jak gdyby na kogoś czekało.  
 Stryj nie raz na to miejsce i na drzwi poglądał,  
 Jakby czyjgoś przyjscia był pewny i żądał.  
 I Tadeusz wzrok stryja ku drzwiom odprowadzał,  
 I z nim na miejscu pustem oczy swe osadzał.  
 Dziwna rzecz ! miejsca w koło są siedzeniem dziewic,  
 Na które mógłby spojrzeć bez wstydu królewic,  
 Wszystkie zacie zrodzone, każda młoda, ładna ;  
 Tadeusz tam pogląda, gdzie nie siedzi żadna.  
 To miejsce jest zagadką, młódź lubi zagadki ;

Rostargniony, do swojej nadobnej sąsiadki  
 Ledwo słów kilka wyrzekł do Podkomorzanki,  
 Nie zmienia jej talerzów, nie nalewa szklanki,  
 I panien nie zabawia przez rozmowy grzeczne,  
 S którychby wychowanie pozuano stołeczne;  
 To jedno puste miejsce nęci go i mami,  
 Już niepuste, bo on je napełnił myślami.  
 Po tym miejscu biegało domysłów tysiące,  
 Jako po deszczu żabki po samotnej łące;  
 Śród nich jedna królóje postać, jak w pogodę  
 Lilia jezior skroń białą wznosząca nad wodę.

Dano trzecią potrawę. W tym pan Podkomorzy,  
 Wlwszy kropelkę wina w szklankę panny Róży,  
 A młodszej przysunąwszy s talerzem ogórki,  
 Rzekł : « Muszę ja wam służyć, moje panny córki,  
 Choć stary i niezgrabny. » Zatem się rzuciło  
 Kilku młodych od stołu i pannom służyło.  
 Sędzia z boku rzuciwszy wzrok na Tadeusza  
 I poprawiwszy nieco wylotów kontusza,  
 Nalał węgryna i rzekł : « Dziś nowym zwyczajem,  
 My na naukę młodzię do stolicy dajem,

I nie przeczym, że nasi synowie i wnuki  
 Mają od starych więcej książkowej nauki,  
 Ale co dzień postrzegam jak młódź cierpi na tém,  
 Że nie ma szkół uczących żyć z ludźmi i światem;  
 Dawniej na dwory pańskie jachał szlachcie młody,  
 Ja sam lat dziesięć byłem dworskim Wojewody  
 Ojca Podkomorzego, Mościwego Pana,  
 ( Mówiąc Podkomorzemu ścisnął za kolana );  
 On mnie radą do usług publicznych sposobił,  
 Z opieki nie wypuścił aż człowiekiem zrobił.  
 W mym domu wicznie będzie jego pamięć droga,  
 Co dzień za duszę jego proszę Pana Boga.  
 Jeźlim tyle na jego nie korzystał dworze  
 Jak drudzy, i wróciwszy w domu ziemię orzę,  
 Gdy inni więcej godni Wojewody względów  
 Doszli potem najwyższych krajowych urzędów,  
 Przynajmniej tom skorzystał, że mi w moim domu  
 Nikt nigdy nie zarzuci, bym uchybił komu,  
 W uczciwości, w grzeczności; a ja powiem śmiało,  
 Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą.  
 Niełatwą, bo nie na tém kończy się, jak nogą  
 Zręcznie wierzgnąć, z uśmiechem witać lada kogo;

Bo taka grzeczność modna, zda mi się kupiecka  
 Ale nie staropolska, ani też szlachecka.  
 Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna ;  
 Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna,  
 I wzgląd męża dla żony przy ludziach, i Pana  
 Dla sług swoich, a w każdej jest pewna odmiana.  
 Trzeba się długo uczyć, ażeby nie zbłądzić  
 I każdemu powinna uczciwość wyrządzić.  
 I starzy się uczyli; u Panów rozmowa,  
 Była to historja żyjąca krajowa,  
 A między szlachtą dzieje domowe powiatu :  
 Dawano przez to poznać szlachecowi bratu,  
 Że wszyscy o nim wiedzą, lekce go nie ważą;  
 Więc szlacheć obyczaje swe trzymał pod strażą.  
 Dziś człowieka nie pytaj : co zacz ? kto go rodzi?  
 S kim on żył, co porabiał ? każdy gdzie chce wchodzi,  
 Byle nie szpieg rządowy, i byle nie w nędzy.  
 Jak ów Wespazjanus nie wachał pieniędzy,  
 I nie chciał wiedzieć skąd są, z jakich rąk i krajów ;  
 Tak nie chcą znać człowieka rodu, obyczajów !  
 Dość że ważny i że się stępel na nim widzi,  
 Więc szanują przyjaciół jak pieniądze żydzi. •

To mówiąc, Sędzia gości obejrzał porządkiem ;  
 Bo choć zawsze i płynnie mówił i z rozsądkiem,  
 Wiedział, że niecierpliwa młodzież terazniejsza,  
 Że ją nudzi rzecz długa choć najwymowniejsza.  
 Ale wszyscy słuchali w milczeniu głębokiém ;  
 Sędzia Podkomorzego zdał się radzić okiem,  
 Podkomorzy pochwałą rzeczy nie przerywał,  
 Ale częstém skinieniem głowy potakiwał.  
 Sędzia milczał, on jeszcze skinieniem przyzywał ;  
 Więc Sędzia jego puhar i swój kielich nalał,  
 I dalej mówił : • Grzeczność nie jest rzeczą małą :  
 Kiedy się człowiek uczy ważyć, jak przystało,  
 Drugich wiek, urodzenie, cnoty, obyczaje,  
 Wtenczas i swoją ważność zarazem poznaje :  
 Jak na szalach żebyśmy nasz ciężar poznali,  
 Musim kogoś posadzić na przeciwnej szali.  
 Zaś godna jest Waszmościów uwagi osobnej  
 Grzeczność, którą powinna młodź dla płci nadobnej ;  
 Zwłaszcza gdy zaność domu, fortuny szczodroty,  
 Objaśniają wrodzone wdzięki i przymioty.  
 Stąd droga do affektów i stąd się kojarzy  
 Wspaniały domów sojusz — tak myśleli starzy



A zatem » — Tu Pan Sędzia nagłym zwrotem głowy  
 Skinął na Tadcusza, rzucił wzrok surowy,  
 Znać było że przychodził już do wniosków mowy.

W tém brząknął w tabakierę złotą Podkomorzy,  
 I rzekł : • Mój Sędzio, dawniej było jeszcze gorzej!  
 Teraz niewiem czy moda i nas starych zmienia,  
 Czy młodzież lepsza, ale widzę mniej zgorzenia.  
 Ach ja pamiętam czasy, kiedy do Ojczyzny  
 Pierwszy raz zawitała moda francuszczyzny!  
 Gdy raptem pawiczki młode s cudzych krajów  
 Wtargneli do nas hordą gorszą od Nogajów,  
 Prześladując w Ojczyźnie Boga, przodków wiarę,  
 Prawa i obyczaje, nawet suknie stare.  
 Żałośnie było widzieć wyżółkłych młokosów,  
 Gadających przez nosy, a często bez nosów,  
 Opatrzonych w broszurki i w różne gazety,  
 Głoszących nowe wiary, prawa, toalety.  
 Miała nad umysłami wielką moc ta tłuszcza;  
 Bo Pan Bóg kiedy karę na naród przepuszcza,  
 Odbiera naprzód rozum od Obywateli.  
 I tak, mędrsi fireykom oprzeci się nie śmieli,

I zląkł ich się jak dzumy jakiej cały naród,  
 Bo już sam wewnątrz siebie czuł choroby zaród;  
 Krzyczano na modnisiów, a brano z nich wzory;  
 Zmieniano wiarę, mowę, prawa i ubiory.  
 Była to maszkarada, zapustna swawola,  
 Po której miał przyjść wkrótce wielki post—niewola!

\* Paniętam, chociaż byłem wtenczas małe dziecko,  
 Kiedy do ojca mego w Oszmiańskim powiecie,  
 Przyjechał Pan Podczaszyc na francuskim wózku,  
 Pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku.  
 Biegali wszyscy za nim jakby za rarogiem,  
 Zazdroszczono domowi, przed którego progiem  
 Stała Podczaszyca dwókolna dryndulka,  
 Która się po francusku zwała karjulka.  
 Zamiast lokajów w kielni siedziały dwa pieski,  
 A na kozłach niemczysko chude nakształt deski;  
 Nogi miał długie, cienkie, jak od chmielu tyki,  
 W pończochach, ze srebrnemi klamrami trzewiki,  
 Peruka z harbajtelem zawiązanym w miechu.  
 Starzy na on ekwipaż parskali ze śmiechu,  
 A chłopci żegnali się, mówiąc: że po świecie

Jeździ wenecki djabeł w niemieckiej karcie  
 Sam Podczaszyc jaki był opisywać długo,  
 Dosyć że się nam zdawał małpą lub papugą  
 W wielkiej peruce, którą do złotego runa  
 On lubił porównywać, a my do kołtuna.  
 Jeśli kto i czuł wtenczas, że polskie ubranie  
 Piękniejsze jest niż obcej mody małpowanie,  
 Milczał; ho by krzyczała młodzież, że przeszkadza  
 Kulturze, że tamuje progressy, że zdradza!  
 Taka była przesądów owoczesnych władza!

« Podczaszyc zapowiedział że nas reformować,  
 Cywilizować będzie i konstytuować;  
 Ogłosił nam, że jacyś francuzi wymowni  
 Zrobili wynalazek: iż ludzie są równi.  
 Choć o tém dawno w Pańskim pisano zakonie,  
 I każdy ksiądz toż samo gada na ambonie.  
 Nauka dawną była, szło o jej pełnienie!  
 Lecz wtenczas panowało takie oślepienie,  
 Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,  
 Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie.  
 Podczaszyc mimo równość wziął tytuł Markiża;

Wiadomo że tytuły przychodzą s Paryża,  
 A natenczas tam w modzie był tytuł Markiża.  
 Jakoż kiedy się moda odmieniła z laty,  
 Tenże sam Markiż przybrał tytuł Demokraty ;  
 Wreszcie z odmienną modą, pod Napoleonem,  
 Demokrata przyjechał s Paryża Baronem;  
 Gdyby żył dłużej, może nową alternatą,  
 Z Barona przechrciłby się kiedyś Demokratą.  
 Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,  
 A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.

• Chwała Bogu, że teraz jeśli naszą młodzież  
 Wyjeżdża za granicę, to już nie po odzież,  
 Nie szukać prawodastwa w drukarskich kramarniach,  
 Lub wymowy uczyć się w paryskich kawiarniach.  
 Bo teraz Napoleon, człek mądry a prędky,  
 Nie daje czasu szukać mody i gawędki.  
 Teraz grzmi oręż, a nam starym serca rosną,  
 Że znowu o Polakach tak na świecie głośno ;  
 Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita!  
 Zawzdy z wawrzynów drzewo wolności wykwita.  
 Tylko smutno, że nam ach! tak się lata wleka

W nieczynności! a oni tak zawsze daleko!  
 Tak długo czekać! nawet tak rzadka nowina —  
 Ojcie Robaku (ciszej rzekł do Bernardyna)  
 Słyszałem, żeś z za Niemna odebrał wiadomość;  
 Może też co o naszym wojsku wie Jegomość?  
 — « Nic a nic » odpowiedział Robak obojętnie,  
 (Widać było że słuchał rozmowy niechętnie)  
 Mnie polityka nudzi; jeżeli z Warszawy  
 Mam list, to rzecz zakonna, to są nasze sprawy  
 Bernardyńskie, cóż o tem gadać u wieczerzy;  
 Są tu świeccy do których nic to nie należy. »

Tak mówiąc, spojrział zyzem, gdzie wśród biesiadników  
 Siedział gość Moskal; był to pan kapitan Ryków,  
 Stary żołnierz, stał w bliskiej wiosce na kwaterze,  
 Pan Sędzia go przez grzeczność prosił na wieczerzę.  
 Ryków jadł smaczno, mało wdawał się w rozmowę,  
 Lecz na wzmiankę Warszawy, rzekł podniosłszy głowę:  
 « Pan Podkomorzy! Oj Wy! Pan zawsze ciekawy  
 O Bonaparta, zawsze Wam tam do Warszawy!  
 He! Ojczyzna! Ja nie szpieg, a popolsku umiem, —  
 Ojczyzna! ja to czuję wszystko, ja rozumiem!

Wy Polaki, ja Ruski, teraz się nie bijem,  
 Jest armistycjum, to my razem jemy, pijem,  
 Często na awanpostach nasz s francuzem gada,  
 Pije wódkę ; jak krzykną ura ! — kanonada.  
 Ruskie przysłówie : s kim się biję, tego lubię ;  
 Gładź družkę jak po duszy, a bij jak po szubie,  
 Ja mówię, będzie wojna u nas. Do Majora  
 Płuta Adjutant Sztabu przyjechał zawczora:  
 Gotować się do marszu ! Pójdziem, czy pod Turka,  
 Czy na Francuza ; oj ten Bonapart figurka !  
 Bez Suwarowa to on może nas wytuza.  
 U nas w pułku gadano, jak szli na francuza,  
 Że Bonapart czarował, no, tak i Suwarów  
 Czarował ; tak i były czary przeciw czarów.  
 Raz w bitwie, gdzie podział się? szukać Bonaparta, —  
 A on zmienił się w lisa, tak Suwarów w charta,  
 Tak Bonaparte znowu w kota się przerzuca,  
 Dalej drzeć pazurami, a Suwarów w kuca.  
 Obaczcież co się stało w końcu z Bonapartą • —  
 Tu Ryków przerwał i jadł ; wtém s potrawą czwartą  
 Wszedł służący, i raptem boczne drzwi otwarto.

Weszła nowa osoba przystojna i młoda ;  
 Jej zjawienie się nagłe, jej wzrost i uroda,  
 Jej ubior, zwrócił oczy, wszyscy ją witali,  
 Prócz Tadeusza widać że ją wszyscy znali.  
 Kibić miała wysmukłą, kształtną, pierś powabną,  
 Suknię materjalną różową jedwabną,  
 Gors wycięty, kołnierzyk s korónek ; rękawki  
 Krótkie, w ręku kręciła wachlarz dla zabawki  
 ( Bo nie było gorąca ), wachlarz pozłocisty  
 Powiewając rozlewał deszcz iskier rzęśisty.  
 Głowa do włosów, włosy pozwijane w kęgi,  
 W pukle, i przeplatane różowemi wstęgi,  
 Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,  
 Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu,  
 Słowem ubior galowy ; szeptali nie jedni,  
 Że zbyt wykwintny na wieś i na dzień powszedni.  
 Nożek, choć suknia krótka, oko nie zobaczy,  
 Bo biegła bardzo szybko, suwała się raczej  
 Jako osobki, które na trzykrólskie święta  
 Przesuwają w jasełkach ukryte chłopięta.  
 Biegła i wszystkich lekkim witając ukłonem,  
 Chciała usieść na miejscu sobie zostawionem.

Trudno było; bo krzesel dla gości nie stało,  
Na czterech ławach cztery ich rzędy siedziało,  
Trzeba było rzed ruszyć lub ławę przeskoczyć;  
Zręcznie między dwie ławy umiała się wtłoczyć,  
A potem między rzędem siedzących i stołem,  
Jak bilardowa kula toczyła się kołem,  
W biegu dotknęła blisko naszego młodziana;  
Uczepiwszy falbaną o czyjeś kolana  
Pośliznęła się nieco, i w tem roztargnieniu  
Na pana Tadeusza wsparła się ramieniu.  
Przeprosiwszy go grzecznie, na miejscu swem siadła  
Pomiędzy nim i stryjem, ale nie jadła;  
Tylko się wachlowała, to wachlarza trzonek  
Kręciła, to kołnierzyk z brabanckich koronek  
Poprawiała, to lekkim dotknięciem się ręki  
Muskała włosów pukle i wstąg jasnych pęki.

Ta przerwa rozmów trwała już minut ze cztery.  
Tymczasem, w końcu stoła naprzd ciche szmery,  
A potem się zaczęły wpółgłośne rozmowy;  
Mężczyźni rozsądzali swe dzisiejsze łowy.  
Assesora z Rejentem wzmogła się uparta,



Coraz głośniejsza kłótnia o kusego charta,  
 Którego posiadaniem pan Rejent się szczycił  
 I utrzymywał, że on zajęcia pochwycił;  
 Assesor zaś dowodził na złość Rejentowi,  
 Że ta chwala należy chartu Sokołowi.  
 Pytano zdania innych; więc wszyscy dokoła  
 Brali stronę Kusego albo też Sokoła,  
 Ci jak znawcy, ci znowu jak naoczne świadki.  
 Sędzia na drugim końcu do nowej sąsiadki  
 Rzekł półgłosem: przepraszam, musieliśmy siadać,  
 Niepodobna wieczerzy na później odkładać,  
 Goście głodni, chodzili daleko na pole,  
 Myślałem że dziś z nami nie będziesz przy stole.  
 To rzekłszy, s Podkomorzym przy pełnym kielichu  
 O politycznych sprawach rozmawiał po cichu.

Gdy tak były zajęte stołu strony obie,  
 Tadeusz przyglądał się nieznanęj osobie;  
 Przypomniawszy że za pierwszym na miejsce wejściem  
 Odgadnął zaraz, czyjś miał być siedzeniem.  
 Rumienił się, serce mu biło nadzwyczajnie;  
 Więc rozwiązane widział swych domysłów tajnie!

Więc było przeznaczono, by przy jego boku  
 Usiadła owa piękność widziana w pomroku ;  
 Wprawdzie zdała się teraz wzrostem dorodniejsza,  
 Bo ubrana, a ubior powiększa i zmniejsza.  
 I włos u tamtej widział krótki, jasnozłoty,  
 A u tej krucze długie zwijały się sploty?  
 Kolor musiał pochodzić od słońca promieni  
 Któremi przy zachodzie wszystko się czerwieni.  
 Twarzą w ów czas niedostrzegł, nazbyt rychło znikła,  
 Ale myśl twarz nadobną odgadywać zwykła ;  
 Myślił że pewnie miała czarniutkie oczęta,  
 Białą twarz, usta kraśne jak wiśnie bliźnięta ;  
 U tej znalazł podobne oczy, usta, lica ;  
 W wieku możeby była największa różnica :  
 Ogrodniczka dziewczynką zdawała się małą,  
 A Pani ta niewiastą już w latach dojrzałą ;  
 Lecz młodzień o piękności metrykę niepyta,  
 Bo młodzieńcowi młodą jest każda kobieta,  
 Chłopcowi każda piękność zda się rowiennicą,  
 A niewinnemu każda kochanka dziewicą.

Tadecusz chociaż liczył lat blisko dwadzieście,

I od dzieciństwa mieszkał w Wilnie, wielkiem mieście ;  
 Miał za dozorcę księdza który go pilnował  
 I w dawniej surowości prawidłach wychował.  
 Tadeusz zatem przywiozł w strony swe rodzinne  
 Duszę czystą, myśl żywą i serce niewinne;  
 Ale razem nie małą chętkę do swywoli.  
 Z góry już robił projekt, że sobie pozwoli  
 Używać na wsi, długo wzbronionej swobody ;  
 Wiedział, że był przystojny, czuł się rześki, młody ;  
 A w spadku po rodzicach wziął czerstwość i zdrowie.  
 Nazywał się Soplica ; wszyscy Soplicowie  
 Są jak wiadomo krzepcy, otyli i silni,  
 Do żołnierki jedyini, w naukach mniej pilni.

Tadeusz się od przodków swoich nieodrodził,  
 Dobrze na koniu jeździł, pieszo dzielnie chodził,  
 Tępy nie był, lecz mało w naukach postąpił,  
 Choć stryj na wychowanie niczego nieskąpił.  
 On wolał z flinty strzelać, albo szablą robić ;  
 Wiedział że go myślano do wojska sposobić,  
 Że Ojciec w testamencie wyrzekł taką wolę ;  
 Ustawicznie do bębna tęsknił siedząc w szkole.

Ale stryj nagle pierwsze zamiary odmienił,  
 Kazał aby przyjechał i aby się żenił,  
 I objął gospodarstwo ; przyrzekł na początek  
 Dać małą wieś, a potem, cały swój majątek.

Te wszystkie Tadeusza cnoty i zalety  
 Ściągnęły wzrok sąsiadki, uważnej kobiety.  
 Zmierzyła jego postać kształtną i wysoką,  
 Jego ramiona silne, jego pierś szeroką,  
 I w twarz spójrzała, s której wytryskał rumieniec,  
 Ilekroć z jej oczyma spotkał się młodzieńiec :  
 Bo s pierwszej lęklivosti całkiem już ochłonął,  
 I patrzył wzrokiem śmiałym w którym ogień płonął,  
 Również patrzyła ona, i cztery źrenice  
 Gorzały przeciw sobie jak roratne świece.

Pierwsza z nim po francusku zaczęła rozmowę ;  
 Wracał z miasta, ze szkoły ; więc o książki nowe,  
 O autorów pytała Tadeusza zdania,  
 I ze zdań wyciągała na nowo pytania ;  
 Cóż gdy potem zaczęła mówić o malarstwie,  
 O muzyce, o tańcach, nawet o rzeźbiarstwie !

Dowiodła że zna równie pędzel, noty, druki ;  
 Aż osłupiał Tadeusz na tyle nauki,  
 Lękał się, by niezostał pośmiewiska celem,  
 I jękał się jak żaczek przed nauczycielem.  
 Szczęściem, że nauczyciel ładny i nicsrogi :  
 Odgadnęła sąsiadka powód jego trwogi,  
 Wszczęła rzecz omnięj trudnych i mądrych przedmiotach,  
 O wiejskiego pożycia nudach i kłopotach,  
 I jak bawić się trzeba, i jak czas podzielić,  
 By życie uprzyjemnić i wieś rozweselić.  
 Tadeusz odpowiadał śmiejąc, szła rzecz dalej,  
 W półgodziny już byli s sobą poufali ;  
 Zaczęli nawet małe żarciki i sprzeczki.  
 W końcu, stawiła przed nim trzy s chleba gałeczki,  
 Trzy osoby na wybór ; wziął najbliższą sobie ;  
 Podkomorzanki na to zmarszczyły się obie,  
 Sąsiadka zaśmiała się, lecz niepowiedziała  
 Kogo owa szczęśliwsza gałka oznaczała.

Inaczęj bawiono się w drugim końcu stoła,  
 Bo tam wzmogłszy się nagle stronnicę Sokoła,  
 Na partycę Kusego bez litości wsiedli :

Spór był wielki, już potraw ostatnich niejedli.  
 Stojąc i pijąc obie kłóciły się strony,  
 A najstraszniej Pan Rejent był zaciętrzewiony,  
 Jak raz zaczął, bez przerwy rzecz swoje tokował  
 I gestami ją bardzo dobitnie malował.  
 (Był dawniej adwokatem Pan Rejent Bolesta,  
 Zwano go kaznodzieją, że zbyt lubił gesta.)  
 Teraz ręce przy boku miał, w tył wygiął łokcie,  
 S pod ramion wytknął palce i długie paznokcie,  
 Przedstawiając dwa smycze chartów tym obrazem,  
 Właśnie rzecz kończył. « Wyczha, puściliśmy razem  
 Ja i Assessor, razem, jakoby dwa kórki  
 Jednym palcem spuszczone u jednej dwórórki ;  
 Wyczha, poszli, a zając jak strona, smyk w pole,  
 Psy tuż, (to mówiąc ręce ciągnął wzdłuż po stole  
 I palcami ruch chartów przedziwnie udawał)  
 Psy tuż, i hec od lasu odsadzili kawał ;  
 Sokoł smyk naprzód, rączy pies, lecz zagorzalec,  
 Wysadził się przed Kusym, o tyle, o palec,  
 Wiedziałem że spudłuje ; szarak gracz nielada,  
 Czchał niby prosto w pole, za nim psów gromada ;  
 Gracz szarak ! skoro poczuł wszystkie charty w kupie

Pstręk na prawo, koziołka, z nim w prawo psy głupie,  
 A on znowu fajt w lewo, jak wytnie dwa susy,  
 Psy za nim fajt na lewo, on w las, a mój Kusy  
 Cap!! • Tak krzyząc Pan Rejent na stół pochylony,  
 S palcami swemi zabiegł aż do drugiej strony,  
 I • Cap! • Tadeuszowi wrzasnął tuż nad uchem ;  
 Tadeusz i sąsiadka tym głosu wybuchem  
 Znienacka przestraszeni właśnie w pół rozmowy,  
 Odstrychnęli od siebie mimowolnie głowy :  
 Jako wierzchołki drzewa powiązane społem  
 Gdy je wichur rozerwie ; i ręce pod stołem  
 Blisko siebie leżące wstecz nagle uciekły,  
 I dwie twarze w jeden się rumieniec oblekły.

Tadeusz by nie zdradzić swego rostargnienia,  
 Prawda rzekł mój Rejencie, prawda, bez wątpienia  
 Kusy piękny chart s kształtu, jeśli równie chwytny...  
 Chwytny? krzyknął Pan Rejent, mój pies faworytny  
 Żeby niemiał być chwytny? Więc Tadeusz znowu  
 Cieszył się, że tak piękny pies niema narowu,  
 Żałował że go tylko widział idąc z lasu,  
 I że przymiotów jego poznać niemiał czasu.

Na to zadrżał Assessor, puścił z rąk kieliszek,  
 Utopił w Tadeusza wzrok jak bazyliszek.  
 Assessor mniej krzykliwy i mniej był ruchawy  
 Od Rejenta, szczuplejszy i mały s postawy,  
 Lecz straszny na reducie, balu i sejmiku,  
 Bo powiadano o nim, ma żądło w języku.  
 Tak dowcipne żarciki umiał komponować,  
 Iżby je w kalendarzu można wydrukować :  
 Wszystkie złośliwe, ostre. Dawniej człek dostatni  
 Schedę ojca swojego i majątek bratni,  
 Wszystko strwonił na wielkim figurując świecie;  
 Teraz wszedł w służbę rządu by znaczyć w powiecie.  
 Lubił bardzo myślistwo, już to dla zabawy,  
 Już to że odgłos trąbki i widok obławy,  
 Przypominał mu jego lata młodościane,  
 Kiedy miał strzelców licznych i psy zawołane ;  
 Teraz mu s całej psiarni dwa charty zostały,  
 I jeszcze s tych jednemu chciano przeczyć chwały.  
 Więc zbliżył się i zwolna gładząc faworyty,  
 Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity:  
 « Chart bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu,  
 Ogon też znacznie chartom pomaga do pędu,



A Pan kusość uważasz za dowód dobroci?  
 Z resztą zdać się możemy na sąd Pańskiej cioci.  
 Choć Pani Telimena mieszkała w stolicy  
 I bawi się niedawno w naszej okolicy,  
 Lepiej zna się na łowach niż myśliwi młodzi:  
 Tak to nauka sama z latami przychodzi. »

Tadeusz na którego niespodzianie spadał  
 Grom taki, wstał zmieszany, chwilę nie niegadał,  
 Lecz patrzył na rywala coraz straszniej, srożej...  
 W tém wielkiem szczęściem dwakroć kichnął Podkomorzy,  
 « Wiwat » krzyknęli wszyscy; on się wszystkim skłonił,  
 I z wolna w tabakierę palcami zadzwonił:  
 Tabakiera ze złota, z brylantów oprawa,  
 A w środku jej był portret króla Stanisława.  
 Ojcu Podkomorzego sam król ją darował,  
 Po ojcu Podkomorzy godnie ją piastował,  
 Gdy w nią dzwonił, znak dawał, że miał głos zabierać;  
 Umilkli wszyscy i ust nieśmieli otwierać.  
 On rzekł: » Wielmożni Szlachta Bracia Dobrodzieje,  
 Forum myśliwskim tylko są łąki i knieje,  
 Więc ja w domu podobnych spraw nie decyduję,

I posiedzenie nasze na jutro solwuję.  
 I dalszych replik stronom dzisiaj nie dozwolę;  
 Woźny! odwołaj sprawę, na jutro na pole,  
 Jutro i Hrabia s całym myśliwstwem tu zjedzie,  
 I Waszeć z nami ruszysz Sędzio mój sąsiedzie,  
 I Pani Telimena i Panny i Panie,  
 Słowem zrobim na urząd wielkie polowanie;  
 I Wojski towarzystwa nam też nie odmówi. »  
 To mówiąc tabakierę podawał starcowi.

Wojski na ostrym końcu wśród myśliwych siedział,  
 Słuchał zmrużywszy oczy, słowa nie powiedział,  
 Choć młodzież nieraz jego zasięgała zdania,  
 Bo nikt lepiej nad niego nie znał polowania.  
 On milczał, szczyptę wziętą s tabakiery ważył  
 W palcach, i długo dumał nim ją w końcu zażył,  
 Kichnął aż cała izba rozległa się echem,  
 I potrząsając głową rzekł z gorzkim uśmiechem :  
 « O jak mnie to starego i smuci i dziwi!  
 Cóżbyto o tém starzy mówili myśliwi ?  
 Widząc że w tyłu szlachty, w tyłu panów gronie,  
 Mają sądzić się spory o charcim ogonie ;

Cóżby rzekł na to stary Rejtan gdyby ożył?  
 Wróciłby do Lachowicz i w grób się położył!  
 Coby rzekł wojewoda Niesiołowski stary,  
 Który ma dotąd pierwsze na świecie ogary,  
 I dwiestu strzelców trzyma obyczajem pańskim,  
 I ma sto wozów sieci w zamku Woronczańskim,  
 A od tylu lat siedzi jak mnich na swym dworze,  
 Nikt go na polowanie uprosić nie może,  
 Białopiotrowiczowi samemu odmówił!  
 Bo cóżby on na waszych polowaniach łowił?  
 Piękna byłaby sława! ażeby pan taki  
 Wedle dzisiejszej mody jeździł na szaraki.  
 Za moich panie czasów, w języku strzeleckim,  
 Dzik, niedźwiedź, łos, wilk, zwany był zwierzem szlacheckim,  
 A zwierze niemające kłów, rogów, pazurów,  
 Zostawiano dla płatnych sług i dworskich ciurów;  
 Żaden pan nigdy przyjąć nie chciałby do ręki  
 Strzelby, którą zhańbiono sypiąc w nią śróć cienki!  
 Trzymano wprawdzie chartów, bo z łowów wracając,  
 Trafia się że spod konia mknie się biedak zając,  
 Puszczano wtenczas za nim dla zabawki smycze,  
 I na konikach małe goniły panicze

Przed oczyma rodziców, którzy te pogonie  
 Ledwie raczyli widzieć, cóż klócić się o nie!  
 Więc niech Jaśnie Wielmożny Podkomorzy raczy  
 Odwołać swe roskazy, i niech mi wybaczy  
 Że nie mogę na takie jechać polowanie,  
 I nigdy na niem noga moja nie postanie!  
 Nazywam się Hreczecha, a od króla Lecha,  
 Żaden za zajęciami nie jeździł Hreczecha. »

Tu śmiech młodzieży mowę Wojskiego zagłuszył,  
 Wstano od stołu; pierwszy Podkomorzy ruszył,  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc kłaniał się damom, starcom i młodzieży;  
 Za nim szedł kwestarz, Sędzia tuż przy Bernardynie,  
 Sędzia u progu rękę dał Podkomorzynie,  
 Tadeusz Telimienic, Assessor Krajezanec,  
 A pan Rejent na końcu Wojskiej Hreczeszanec.

Tadeusz s kilku gośćmi poszedł do stodoły,  
 A czuł się pomieszany, zły i niewesoły,  
 Rozbierał myślą wszystkie dzisiejsze wypadki,  
 Spotkanie się, wiozł przy boku sąsiadki,

A szczególnie mu słowo « Ciocia », koło ucha  
 Brzęczało ciągle jako naprzykrzona mucha,  
 Pragnąłby u Woźnego lepiej się wypytać  
 O Pani Telimencie, lecz go niemógł schwytać;  
 Wojskiego też niewidział, bo zaraz z wieczery  
 Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy,  
 Urządzając we dworze izby do spoczynku.  
 Starsi i damy spały we dworskim budynku,  
 Młodzież Tadeuszowi prowadzić kazano  
 W zastępstwie gospodarza, w stodołę na siano.

W półgodziny tak było głucho w całym dworze  
 Jako po zadzwonieniu na pacierz w klasztorze;  
 Ciszę przerywał tylko głos nocnego stróża.  
 Usnęli wszyscy. Sędzia sam oczu niezmruża,  
 Jako wódz gospodarstwa, obmyśla wyprawę  
 W pole, i w domu przyszłą urządza zabawę.  
 Dał rozkaz ekonomom, wójtom i guniennym,  
 Pisarzom, ochmistrzyni, strzelcom i stajennym,  
 I musiał wszystkieienne rachunki przecierać,  
 Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.  
 Woźny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity,

Przy którym świecą gęste kutasy jak kity.  
 Z jednej strony złotogłów w purpurowe kwiaty,  
 Na wywrót jedwab' czarny posrebrzany w kraty;  
 Pas taki można równie kłaść na strony obie,  
 Złotą na dzień galowy, a czarną w żałobie.  
 Sam Woźny umiał pas ten odwiązywać, składać;  
 Właśnie tém się zatrudniał i kończył tak gadać :

• Cóż złego że przeniosłem stoły do zamczyska,  
 Nikt na tém nic niestracił, a Pan może zyska,  
 Bo przecież o ten zamek dziś toczy się sprawa.  
 My od dzisiaj do zamku nabyliśmy prawa,  
 I mimo całą strony przeciwnéj zajadłość,  
 Dowiodę że zamczysko wzięliśmy w posiadłość.  
 Wszakże kto gości prosi w zamek na wieczerzę,  
 Dowodzi że posiadłość tam ma albo bierze,  
 Nawet strony przeciwne weźmiemy na świadki:  
 Pamiętam za mych czasów podobne wypadki. •

Już Sędzia spał. Więc Woźny cicho wszedł do sieni  
 Siadł przy świecy i dobył książeczkę s kieszeni,  
 Która mu jak Ołtarzyk Złoty zawsze służy,

Której nigdy nie rzuca w domu i w podróży.  
 Była to trybunalska wokanda : tam rzędem  
 Stały spisane sprawy, które przed urzędem  
 Woźny sam głosem swoim przed laty wywołał,  
 Albo o których później dowiedzieć się zdołał.  
 Prostim ludziom wokanda zda się imion spisem,  
 Woźnemu jest obrazów wspaniałych zarysem.  
 Czytał więc i rozmyślał : Ogiński z Wizgirdem,  
 Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogierdem,  
 Radziwił z Wereszczaką, Giedrojć z Roduńtowskim,  
 Obuchowicz s kahałem, Juraha s Piotrowskim,  
 Maleski z Mickiewiczem, a nakoniec Hrabia  
 S Soplicą : i czytając, s tych imion wywabia  
 Pamięć spraw wielkich, wszystkie processu wypadki,  
 I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki ;  
 I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym  
 W granatowym kuntuszu stał przed trybunałem,  
 Jedną ręką na szabli, a drugą do stoła  
 Przywoławszy dwie strony, « Uciszcie się ! » woła.  
 Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału  
 Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału.

Takie były zabawy, spory w onelata  
 Śród cichej wsi litewskiej; kiedy reszta świata  
 We łzach i krwi tonęła, gdy ów mąż, bóg wojny  
 Otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,  
 Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,  
 Od puszczy Libijskich latał do Alpów podniebnych,  
 Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,  
 W Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i Zabor  
 Biegły przed nim i za nim. Sława czynów tyłu,  
 Brzemienna imionami rycerzy, od Nilu  
 Szła hucząc ku północy, aż u Niemna brzegów  
 Odbiła się, jak od skał, od Moskwy szeregów,  
 Które broniły Litwę murami żelaza  
 Przed wieścią dla Rosyji straszną jak zaraza.

Przecież nieraz nowina, niby kamień z nieba  
 Spadała w Litwę; nieraz dziad żebrzący chleba.  
 Bez ręki lub nogi, przyjąwszy jałmużnę,  
 Stał i oczy w koło obracał ostróżne.  
 Gdy niewidział we dworze rossyjskich żołnierzy,  
 Ani jarmułek, ani czerwonych kofnierzy,  
 Wtenczas kim był, wyznawał; był legionistą,



Przynosił kości stare na ziemię ojezystą,  
 Któręj już bronić niemógł — jak go wtenczas cała  
 Rodzina pańska, jak go czeladka ścisła  
 Zanosząc się od płaczu! on za stołem siadał,  
 I dziwniejsze od baśni historye gadał.  
 On opowiadał jako Jenerał Dąbrowski  
 Z ziemi Włoskiej stara się przyciągnąć do Polski,  
 Jak on rodaków zbiera na Lombardzkim polu;  
 Jak Kniaziewicz rozkazy daje s Kapitolu,  
 I zwycięzca, wydartych potomkom Cezarów  
 Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów;  
 Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie,  
 Gdzie się cukier wytapia, i gdzie w wiecznej wiosnie  
 Pachnące kwitną lasy; z legią Dunaju  
 Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

Mowy starca krążyły we wsi pokryjomu;  
 Chłopiec co je posłyszał, zniknął nagle z domu,  
 Lasami i bagnami skradał się tajemnie,  
 Scigany od Moskali, skakał kryć się w Niemnie  
 I nurkiem płynął na brzeg księstwa Warszawskiego,  
 Gdzie usłyszał głos miły • Witaj nam kollego! •

Lecz nim odszedł, wyskoczył na wzgórek s kamienia  
 I Moskałom przez Niemen rzekł : « do zobaczenia ».  
 Tak przekradł się Gorecki, Pac i Obuchowicz,  
 Piotrowki, Obolewki, Rożycki, Janowicz,  
 Mirzejewscy, Brochocki i Bernatowicze,  
 Kupść, Gedymin i inni których nie policzę ;  
 Opuszczali rodziców i ziemię kochaną,  
 I dobra, które na skarb Carski zabierano.

Czasem do Litwy kwestarz z obcego klasztoru  
 Przyszedł, i kiedy bliżej poznał Panów dworu,  
 Gazetę im pokazał wyprutą s szkaplerza ;  
 Tam stała wypisana i liczba żołnierza,  
 I nazwisko każdego wodza legionu,  
 I każdego z nich opis zwycięstwa, lub zgonu.  
 Po wielu latach, pierwszy raz miała rodzina  
 Wieść o życiu, o chwale i o śmierci syna ;  
 Brał dom żałobę, ale powieścić nie śmiano  
 Po kim była żałoba, tylko zgadywano  
 W okolicy; i tylko cichy smutek Panów,  
 Lub cicha radość, była gazetą ziemianów.

Takim kwestarzem tajnym był Robak podobno :  
 Często on s Panem Sędzią rozmawiał osobno,  
 Po tych rozmowach zawsze jakowaś nowina  
 Rozeszła się w sąsiedztwie. Postać bernardyna  
 Wydawała, że mnich ten nie zawsze w kapturze  
 Chodził, i nie w klasztornym zestarzał się murze.  
 Miał on nad prawém uchem, nieco wyżej skroni,  
 Bliznę, wyciętej skóry na szerokość dłoni,  
 I w brodzie ślad niedawny lancy lub postrzału;  
 Ran tych niedostał pewnie przy czytaniu mszału.  
 Ale nie tylko groźne wejrzenie i blizny,  
 Lecz sam ruch i głos jego miał coś żołnierszczyzny.

Przy mszy, gdy z wzniesionemi zwracał się rękami  
 Od ołtarza do ludu, by mówić : «Pan z wami»,  
 To nie raz tak się zręcznie skręcił jednym razem,  
 Jakby prawo w tył robił za wodza rozkazem,  
 I słowa liturgji takim wyrzekł tonem  
 Do ludu, jak officer stojąc przed szwadronem :  
 Postrzegli to chłopcy służący mu do mszy.  
 Spraw także politycznych był Robak świadomszy,  
 Niżli żywotów świętych, a jeżdżąc po kweście,

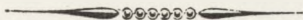
Często zastanawiał się w powiatowem mieście ;  
 Miał pełno interessów : to listy odbierał  
 Których nigdy przy obcych ludziach nie otwierał,  
 To wysyłał posłańców, ale gdzie i po co  
 Nie powiadał ; częstokroć wymykał się nocą  
 Do dworów Pańskich, s szlachtą ustawicznie szeptał,  
 I okoliczne wioski do koła wydeptał,  
 I w karczmach z wieśniakami rosprawiał nie mało,  
 A zawsze o tém, co się w cudzych krajach działo.  
 Teraz Sędziego który już spał od godziny  
 Przychodzi budzić ; pewnie ma jakieś nowiny.



ZSIĘGA DRUGA.



# ZAMEK.



## TREŚĆ.

Polowanie s chartami na upatrzonogo — Gość w Zamku — Ostatus  
z dworzan opowiada historją ostatniego z Horeszków — Rzut oka  
w sad — Dziewczyzna w ogórkach — Śniadanie — Pani Telimeny  
Anegdota petersburska — Nowy wybuch sporów o Ku-  
sego i Sokoła — Interwencja Robaka — Rzecz Woj-  
kiego — Zakład — Dalej w grzyby.



Kto z nas tych lat niepomni, gdy młode pacholę,  
Ze strzelbą na ramieniu świszcząc szedł na pole;  
Gdzie żaden wał, płot żaden nogi nieutrudza,  
Gdzie przestępując miedzę, niepoznasz że cudza!  
Bo na Litwie myśliwiec jak okręt na morzu,  
Gdzie chcesz, jaką chcesz drogą, buja po przestworzu!  
Czyli jak prorok patrzy w niebo, gdzie w obłoku

Wiele jest znaków widnych strzeleckiemu oku,  
 Czy jak czarownik gada z ziemią, która głucha  
 Dla raiieszczan, mnóstwem głosów szepece mu do ucha.

Tam derkacz wrzasnął z łąki, szukać go daremnie,  
 Bo on szybuje w trawie, jako szczupak w Niemnie;  
 Tam ozwał się nad głową ranny wiosny dzwonek,  
 Również głęboko w niebie schowany skowronek;  
 Ówdzie orzeł szerokiem skrzydłem przez obszary  
 Zaszumiał, strasząc wróble, jak kometa cary;  
 Zaś jastrząb pod jasnemi wiszący błękity,  
 Trzepie skrzydłem jak motyl na szpilec przybity,  
 Aż ujrzawszy wśród łąki ptaka lub zajęcia,  
 Runie nań z góry jako gwiazda spadająca.

Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,  
 I znówu dom zamieszkać na ojczystej roli,  
 I służyć w jeździe która wojuje szaraki,  
 Albo w picchocie, która nosi broń na ptaki;  
 Nie znać innych prócz kosy i sierpa rynsztunków  
 I innych gazet oprócz domowych rachunków!



Nad Soplicowem słońce weszło, i już padło  
 Na strzechy i przez szpary w stodołę się wkradło ;  
 I po ciemnozieloném świeżém wonném sianie,  
 S którego młodzieź sobie zrobiła posłanie,  
 Rospływały się złote, migające pręgi  
 Z otworu czarnej strzechy, jak z warkocza wstęgi ;  
 I słońce usta sennych promykiem poranka  
 Drażni, jak dziewcze kłosem budzące kochanka.  
 Już wróble skacząc świerkać zaczęły pod strzechą.  
 Już trzykroć gęgnął gęsior, a za nim iak echo,  
 Odczywały się chorem kaczki i indyki,  
 I słyhać bywała w pole idącego ryki.

Wstała młodzieź, Tadeusz jeszcze senny leży,  
 Bo też najpóźniej zasnął ; s wczorajszej wicezery  
 Wrócił tak niespokojny, że o kurów pianiu  
 Jeszcze oczu niezmrużył, a na swém posłaniu  
 Tak kręcił się, że w siano jak w wodę utonął,  
 I spał twardo, aż zimny wiatr w oczy mu wionął,  
 Gdy skrzypiące stodoły drzwi otwarto s trzaskiem,  
 I bernardyn ksiądz Robak wszedł z własnym paskiem  
 » Surge puer » wołając i ponad barkami

Rubasznie wywijając pasek z ogórkami.

Już na dziedzińcu słychać myśliwskie okrzyki,  
 Wyprowadzają konie, zajeżdżają bryki,  
 Ledwie dziedziniec taką gromadę ogarnie,  
 Odezwały się trąby, otworzono psiarnie;  
 Zgraja chartów wypadłszy wesoło skowycze;  
 Widząc rumaki szczwaczów, dojeżdżaczów smycze,  
 Psy jak szalone zwałem śmigają po dworze,  
 Potem biegną i kładą szyje na obroże:  
 Wszystko to bardzo dobre polowanie wróży;  
 Nareszcie Podkomorzy dał rozkaz podróży.

Ruszyli szczwacze zwolna, jeden tuż za drugim,  
 Ale za bramą rzędem rozbiegli się długiemi;  
 W środku jechali obok Assessor z Rejentem,  
 A choć na siebie czasem patrzyli ze wstrętem,  
 Rozmawiali przyjaźnie jak ludzie honoru  
 Idąc na rostrzygnięcie śmiertelnego sporu;  
 Nikt ze słów zawziętości ich poznać niezdolał;  
 Pan Rejent wiodł Kusego, Assessor Sokoła.  
 S tyłu damy w pojazdach, młodzieńcy stronami

Czwałując tuż przy kofach gadali z damami.

Ksiądz Robak po dziedzińcu wolnym chodził krokiem  
 Kończąc ranne pacierze; ale rzucał okiem  
 Na Pana Tadeusza, marszczył się, uśmiechał,  
 Wreście kiwnął nań palcem, Tadeusz odjechał;  
 Robak palcem po nosie dawał mu znak groźby :  
 Lecz mimo Tadeusza pytania i prośby  
 Ażeby mu wyraźnie co chce wytłumaczyć,  
 Bernardyn odpowiedzi, ni spojrzeć nieraczył,  
 Kaptur tylko nasunął i pacierz swój kończył;  
 Więc Tadeusz odjechał i z gośćmi się złączył.

Właśnie w ten czas myśliwi smycze zatrzymali  
 I wszyscy nieruchomi w miejscach swoich stali;  
 Jeden drugiemu ręką dawał znak milczenia,  
 A wszyscy obrócili oczy do kamienia  
 Nad którym stał Pan Sędzia, on zwierza obaczył  
 I ręk skinieniem swoje rozkazy tłumaczył.  
 Pojęli wszyscy, stoją, a środkiem po roli  
 Assessor i Pan Rejent kłusują powoli;  
 Tadeusz będąc bliższy obudwu wyprzedził,

Stał obok Sędziego i oczyma śledził.  
 Dawno już nie był w polu ; na szarej przestrzeni  
 Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.  
 Pokazał mu Pan Sędzia ; siedział biedny zajac  
 Płaszcząc się pod kamieniem, uszy nadstawiając,  
 Okiem czerwonym spotkał myśliwców wejrzenie,  
 I jakby urzeczony, czując przeznaczenie  
 Ze strachu od ich oczu niemógł zwrócić oka,  
 I pod opoką siedział martwy jak opoka.  
 Tym czasem kurz na roli rośnie coraz bliżej,  
 Pędzi na smyczy Kusy, za nim Sokoł chyży,  
 Tuż Assessor z Rejentem, razem wrzaśli s tyłu :  
 « Wyczha, wyczha » i s psami znikli w kłębach pyłu.

Kiedy tak za szarakiem goniono, tymczasem  
 Ukazał się Pan Hrabia pod zamkowym lasem ;  
 Wiedziano w okolicy, że ten Pan niemoże  
 Nigdy nigdzie stawić się w naznaczonej porze,  
 I dziś zaspiał poranek, więc na sługi zrzędził,  
 Widząc myśliwców w polu czwałem do nich pędził ;  
 Surdut swój angielskiego kroju, biały, długi,  
 Połami na wiatr puścił ; s tyłu konno sługi

W kapeluszach jak grzybki, czarnych, lśnących, małych,  
 W kurtkach, w butach stryflastych, w pantalonach białych :  
 Sługi które Pan Hrabia tym kształtem odzicje,  
 Nazywają się w jego pałacu, dzokcje.

Czwałująca czereda zleciała na błonia,  
 Gdy Hrabia ujrzał zamek i zatrzymał konia.  
 Pierwszy raz widział zamek z rana, i niewierzył  
 Że to były też same mury, tak odświeżył  
 I upięknił poranek zarysy budowy ;  
 Zadziwił się Pan Hrabia na widok tak nowy.  
 Wieża zdała się dwakroć wyższa, bo stercząca  
 Nad mgłą ranną ; dach z blachy złocił się od słońca,  
 Pod nim błyszczała w kratkach reszta szyb wybitych.  
 Łamiąc promienie wschodu w tęczach rozmaitych ;  
 Niższe piętra oblała tumanu powłoka,  
 Rospadliny i szczyby zakryła od oka.  
 Krzyk dalekich myśliwców wiatrami przygnany  
 Odbijał się kilkakroć o zamkowe ściany :  
 Przysięgłbys że krzyk z zamku, że pod mgłą zasłoną  
 Mury odbudowano i znów zaludniono.

Hrabia lubił widoki niezwykle i nowe,  
 Zwał je romansowemi; mawiał że ma głowę  
 Romansową, w istocie był wielkim dziwakiem.  
 Nieraz pędząc za lisem albo za szarakiem,  
 Nagle stawał i w niebo poglądał żałośnie,  
 Jak kot gdy ujrzy wróble na wysokiej sosnie;  
 Często bez psa, bez strzelhy błąkał się po gaju,  
 Jak rekrut zbiegły; często siadał przy ruczaju  
 Nieruchomy, schyliwszy głowę nad potokiem,  
 Jak czapla wszystkie ryby chcącą pozrzeć okiem.  
 Takie były Hrabiego dziwne obyczaje,  
 Wszyscy mówili że mu czegoś nie dostaje.  
 Szanowano go przecież, bo pan s prapradziadów,  
 Bogacz, dobry dla chłopów, ludzki dla sąsiadów;  
 Nawet dla żydów.

Hrabski koń zwrócony z drogi,  
 Prosto kłusował polem aż pod zamku progi.  
 Hrabia samotny wdychał, poglądał na mury,  
 Wyjął papier, ołówek i kreslił figury.  
 W tém spójrzawszy w bok ujrzał o dwadzieścia kroków  
 Człowieka, który równie miłośnik widoków,

Z głową zadartą, ręce włożywszy w kieszenie,  
 Zdawało się że liczył oczyma kamienie.  
 Poznał go zaraz, ale musiał kilka razy  
 Krzyknąć, nim głos Hrabiego usłyszał Gerwazy.  
 Szlachcic to był służący dawnych zamku panów,  
 Pozostały ostatni z Horeszki dworzanów;  
 Starzec wysoki, siwy, twarz miał czerstwą, zdrową,  
 Marszczkami pooraną, posępną, surową.  
 Dawniej pomiędzy szlachtą z wesołości sływał ;  
 Ale od bitwy w której dziedzie zamku zginął,  
 Gerwazy się odmienił, i już od lat wielu  
 Ani był na kermaszu, ani na weselu ;  
 Odtąd jego dowcipnych żartów niesłyszano,  
 I uśmiechu na jego twarzy niewidziano.  
 Zawsze nosił Horeszków liberję dawną,  
 Kurtę s połami żółtą, galonem oprawną,  
 Który dziś żółty dawniej zapewne był złoty.  
 W koło szyte jedwabiem herbowne klejnoty  
 Półkozice, i stąd też cała okolica  
 Półkozicem przeważała starego szlachcica.  
 Czasem też od przysłowia, które bez ustanku  
 Powtarzał, nazywano go także Mopanku,

Czasem Szczerbecem, że cała Łysinę miał wszערbach;  
 Lecz on zwał się Rębjąło a o jego herbach  
 Niewiadomo. Klucznikiem siebie tytutował,  
 Iż ten urząd na zamku przed laty piastował.  
 I dotąd nosił wielki pęk kluczów za pasem,  
 Uwiązany na taśmie ze srebrnym kutasem.  
 Choć nie miał co otwierać; bo zamku podwoje  
 Stały otworem; przecież wynalazł drzwi dwoje,  
 Sam je własnym nakładem naprawił i wstawił,  
 I drzwi tych odmykaniem codziennie się bawił.  
 W jednej z izb pustych obrał mieszkanie dla siebie;  
 Mogąc żyć u Hrabiego na łaskawym chlebie,  
 Nie chciał, bo wszędzie tęsknił i czuł się niezdrowym,  
 Jeżeli nie oddychał powietrzem zamkowym.

Skoro ujrzał Hrabiego, czapkę z głowy schwycił,  
 I krewnego swych panów ukłonem zaszczycił  
 Chyląc Łysinę wielką, świecącą zdaleka,  
 I naciętą od licznych kordów jak nasiecka;  
 Gładził ją ręką, podszedł, i jeszcze raz nisko  
 Skłoniwszy się, rzekł smutnie: Mopanku, panisko,  
 Daruj mnie że tak mówię Jaśnie Gracie Panie,



To jest mój zwyczaj, nie zaś nieuszanowanie :  
 « Mopanku » powiadali wszyscy Horeszkowie,  
 Ostatni Stolnik pan mój miał takie przysłówie ;  
 Czyż to prawda Mopanku że pan grosza skąpisz  
 Na proces, i ten zamek Soplicom ustąpisz ;  
 Nie wierzyłem, lecz w całym powiecie tak słychać.  
 Tu poglądając w zamek nie przestawał wzdychać.

Cóż dziwnego, rzekł Hrabia, koszt wielki a nuda  
 Jeszcze większa ; chcę skończyć, lecz szlachcie maruda  
 Upiera się ; przewidział że mię znudzić może :  
 Dłużej też nie wytrzymam i dzisiaj broń złożę,  
 Przyjmę warunki zgody jakie mi sąd poda.  
 Zgody ? krzyknął Gerwazy, s Soplicami zgoda,  
 S Soplicami Mopanku ? to mówiąc wykrzywił  
 Usta, jakby nad własną mową się zadziwił.  
 Zgoda i Soplicowie ! Mopanku Panisko  
 Pan żartuje, co ? Zamek Horeszków siedlisko  
 Ma pójść w ręce Sopliców ? niech pan tylko raczy  
 Ssiąć s konia, pódźmy w zamek, niech no pan obaczy.  
 Pan sam nie wie co robi, niech się pan nie wzbrania,  
 Ssiadaj Pan — i przytrzymał strzemię do ssiadania.

Weszli w zamek ; Gerwazy stanął w progu sieni :  
 Tu, rzekł, dawni panowie dworem otoczeni,  
 Często siadali w krzesłach w poobiedniej porze.  
 Pan godził spory włościan ; lub w dobrym humorze  
 Gościom różne ciekawe historye prawił,  
 Albo ich powieściami i żarty się bawił.  
 A młodzież na dziedzińcu biła się w palcaty,  
 Lub ujeżdżała pańskie tureckie bachmaty.

Weszli w sien. — Rzekł Gerwazy, w tej ogromnej sieni  
 Brukowanęj, nie znajdziesz Pan tyle kamieni,  
 Ile tu pękło beczek wina w dobrych czasach ;  
 Szlachta ciągnęła kufy s piwnicy na pasach,  
 Sproszona na sejm albo sejmik powiatowy,  
 Albo na imieniny Pańskie, lub na łowy.  
 Podczas uczty na chorze tym kapela stała  
 I w organ i w rozliczne instrumenty grała ;  
 A gdy wnoszono zdrowie, trąby jak w dniu sądnym  
 Grzmiały s choru ; wiwaty szły ciągiem porządnym —  
 Pierwszy wiwat za zdrowie króla Jegomości,  
 Potem Prymasa, potem królowej Jejmości,  
 Potem Szlachty i całej Rzeczypospolitej ;

A nakoniec po piątej szklanicy wypitej,  
 Wnoszono Kochajmy się, wiwat bez przestanku,  
 Który dniem okrzykniony, brzmiał aż do poranku;  
 A już gotowe stały cugi i podwody,  
 Aby każdego odwieść do jego gospody.

Przeszli już kilka komnat; Gerwazy w milczeniu  
 Tu wzrok na ścianie wstrzymał, ówdzie na sklepieniu,  
 Przy wołując pamiątkę tu smutną, tam miłą ;  
 Czasem jakby chciał mówić « wszystko się skończyło »  
 Kiwnął żałośnie głową; czasem machnął ręką.  
 Widać że mu wspomnienie samo było męką,  
 I że je chciał odpędzić; aż się zatrzymali  
 Na górze, w wielkiej, niegdyś zwierciadlanej sali;  
 Dziś wydartych zwierciadeł stały puste ramy,  
 Okna bez szyb, s kruzgankiem wprost naprzeciw bramy.  
 Tu wszedłszy starzec głowę zadumaną skłonił  
 I twarz zakrył rękami, a gdy ją odsłonił,  
 Miała wyraz żałości wielkiej i rozpaczey.  
 Hrabia chociaż niewiedział co to wszystko znaczy,  
 Poglądając w twarz stareca czuł jakieś wzruszenie,  
 Rękę mu seisnął; chwile trwało to milczenie.

Przerwał je starzec trzęsąc wzniesioną prawicą :  
 « Niemasz zgody Mopanku pomiędzy Soplicą  
 I krwią Horeszków ; w Panu krew Horeszków płynie,  
 Jesteś krewnym Stolnika, po matce Łowczyńie,  
 Która się rodzi z drugiej córki Kasztelana,  
 Który był jak wiadomo, wujem mego Pana.  
 Słuchaj Pan historyi swej własnej rodzinnej,  
 Która się stała właśnie w tej izbie, nie innej.

• Nieboszczyk Pan mój Stolnik, pierwszy Pan w powiecie,  
 Bogacz i familiant, miał jedyne dziecko,  
 Córkę piękną jak anioł ; więc się zalecało  
 Stolnikównie i szlachty i panią nie mało.  
 Między szlachtą był jeden wielki paliwoda,  
 Kłótnik, Jacek Soplica, zwany Wojewoda  
 Przez żart ; w istocie wiele znaczył w województwie,  
 Bo rodzinę Sopliców miał jakby w dowództwie,  
 I trzystu ich kreskami rządził wedle woli,  
 Choć sam nic nieposiadał prócz kawałka roli,  
 Szabli, i wielkich wąsów od ucha do ucha.  
 Owoż Pan Stolnik nieraz wzywał tego zucha  
 I ugaszczwał w pałacu, zwłaszcza w czas sejmików,

Popularny dla jego krewnych i stronników.  
 Wąsał tak wzbił się w dumę łaskawém przyjęciem,  
 Ze mu się uroiło zostać Pańskim zięciem.  
 Do zamku nieproszony coraz częściej jeździł,  
 W końcu u nas jak w swoim domu się zagnieździł  
 I już miał się oświadczać, lecz pomiarkowano,  
 I czarną mu polówkę do stołu podano.  
 Podobno Stolnikownie wpadł Soplica w oko,  
 Ale przed rodzicami taiła głęboko.

«Było to za Kościuszki czasów; Pan popierał  
 Prawo trzeciego maja, i już szlachtę zbierał,  
 Aby Konfederatom ciągnąć ku pomocy,  
 Gdy nagle Moskwa zamek opasała w nocy:  
 Ledwie był czas z moździerza na trwożę wypalić,  
 Podwoje dolne zamknąć i rygłem zawalić.  
 W zamku całym był tylko Pan Stolnik, ja, Pani,  
 Kuchmistrz i dwóch kucheików, wszyscy trzej pijani,  
 Proboszcz, lokaj, hajducy czterej, ludzie śmiali;  
 Więc za strzelby, do okien; aż tu tłum Moskali  
 Krzycząc ura, od bramy wali po tarasie;  
 My im ze strzelb dziesięcin palnęli « a zasie »

Nie tam niebyło widać; służy bez ustanku  
 Strzelali z dolnych pięter, a ja i Pan z ganku.  
 Wszystko szło pięknym ładem, choć w tak wielkiej trwodze:  
 Dwadzieścia strzelb leżało tu na tej podłodze,  
 Wyrzuciliśmy jedną, podawano drugą,  
 Ksiądz Proboszcz zatrudniał się czynnie tą usługą,  
 J Pani i Panienska i nadworne Panny;  
 Trzech było strzelców a szedł ogień nieustanny;  
 Grad kul sypały z dołu moskiewkie piechury,  
 My rzadka, ale celniej dogrzewali z góry.  
 Trzy razy aż pode drzwi to chłopstwo się wparło,  
 Ale za każdym razem trzech nogi zadarło,  
 Więc uciekli pod lamus; a już był poranek.  
 Pan Stolnik wesoł wyszedł ze strzelbą na ganek,  
 I skoro s pod lamusa moskal łeb wychylił,  
 On dawał zaraz ognia a nigdy nie mylił,  
 Za każdym razem czarny kaszkiet w trawę padał,  
 I już się rzadko który z za ściany wykładał.  
 Stolnik widząc strwożone swe nieprzyjaciele,  
 Myślił zrobić wycieczkę, porwał karabelę  
 I z ganku krzyząc sługom wydawał rozkazy;  
 Obróciwszy się do mnie rzekł: za mną Gerwazy!

Wtém strzelono s pod bramy, Stolnik się zająknął,  
 Zacerwienił się, zbladnął, chciał mówić, krwią chrząknął;  
 Postrzegłem wtenczas kulę, wpadła w piersi same,  
 Pan słaniając się palcem ukazał na bramę.  
 Poznałem tego łotra Soplicę! poznałem!  
 Po wzrósie i po wąsach! jego to postrzałem  
 Zginał Stolnik, widziałem! łotr jeszcze do góry  
 Wzniesioną trzymał strzelbę, jeszcze dym szedł z rury!  
 Wziąłem go na cel, zbójca stał jak skamieniały!  
 Dwa razy dałem ognia, i oba wystrzały  
 Chybiły; czym ze złości czy z żalu źle mierzył.  
 Usłyszałem wrzask kobiet, spojrzałem, — pan nieżył. »

Tu Gerwazy umilknął i łzami się zalał,  
 Potém rzekł kończąc: « Moskal już wrota wywalał;  
 Bo po śmierci Stolnika stałem bezprzytomnie,  
 I nie wiedziałem co się działo w około mnie;  
 Szcęściem na odsiecz przyszedł nam Parafianowicz  
 Przywiodłszy Mickiewiczów dwiestu z Horbatowicz,  
 Którzy są szlachta liczna i dzielna, człek w człeka,  
 A nienawidzą rodu Sopliców od wieka.

Tak zginął pan potężny, pobożny i prawy,  
 Który miał w domu krzesła, wstęgi i buławy,  
 Ojciec włościan, brat szlachty; i nie miał po sobie  
 Syna, któryby zemstę poprzysiągł na grobie!  
 Ale miał sługi wierne; ja w krew jego rany  
 Obmoczyłem mój rapier seczorykiem zwany,  
 (Zapewne Pan o moim słyszał seczoryku,  
 Sławnym na każdym sejmie, targu i sejmiku)  
 Przysiągłem wyszczerbić go na Sopliców karkach,  
 Seigałem ich na sejmach, zajazdach, jarmarkach;  
 Dwóch zarąbałem w kłótni, dwóch na pojedynku;  
 Jednego podpaliłem w drewnianym budynku,  
 Kiedyśmy zajeżdżali z Rymszą Korelicze,  
 Upiekł się tam jak piskorz; a tych nie policzę  
 Którym uszy obciąłem. Jeden tylko został,  
 Który dotąd ode mnie pamiątki nie dostał!  
 Rodzoniutki braciszek owego wąsala,  
 Żyje dotąd, i s swoich bogactw się przechwala,  
 Zamku Horeszków tyka swych kopców krawędzią,  
 Szanowany w powiecie, ma urząd, jest Sędzią!  
 I Pan mu zamek oddasz? niecne jego nogi  
 Mają krew Pana mego zetrzeć s tej podłogi?



O nie! póki Gerwazy ma choć za grosz duszy,  
I tyle sił, że jednym małym palcem ruszy  
Szczyryk swój, wiszący dotychczas na ścianie!  
Póty Soplica tego zamku nie dostanie!

« O! krzyknął Hrabia, ręce podnosząc do góry!  
Dobre miałem przeczucie, żeś lubił te mury!  
Choć nie wiedziałem że w nich taki skarb się mieści,  
Tyle scen dramatycznych, i tyle powieści!  
Skoro zamek mych przodków Soplicom zagrabię,  
Ciebie osadzę w murach jak mego Burgrabię:  
Twoja powieść Gerwazy zajęła mię mocno.  
Szkoda, żeś mię nie przywiódł tu w godzinę nocną;  
Udrapowany płaszczem siadłbym na ruinach,  
A tybyś mi o krwawych rozpowiadał czynach;  
Szkoda że masz nie wielki dar opowiadania!  
Nie raz takie słyszałem, i czytam podania;  
W Anglii i w Szkocyi każdy zamek Lordów,  
W Niemczech każdy dwór Grafów, był teatrem mordów!  
W każdej dawniej, szlachetnej, potężnej rodzinie  
Jest wieść o jakimś krwawym lub zdradzieckim czynie,  
Po którym zemsta spływa na dziedziców w spadku :

W Polsce pierwszy raz słyseż o takim wypadku.  
 Czuję że we mnie mężnych krew Horeszków płynie!  
 Wiem co winienem sławie i mojej rodzinie,  
 Tak! muszę zerwać wszelkie s Soplicą układy,  
 Choćby do pistoletów przyszło lub do szpady!  
 Honor każe » Rzekł, ruszył uroczystym krokiem,  
 A Gerwazy szedł s tyłu w milczeniu głębokiem.  
 Przed bramą stanął Hrabia, sam do siebie gadał,  
 Poglądając na zamek prędko na koń wsiadał,  
 Tak samotną rozmowę kończąc rostargniony :  
 « Szkoda że ten Soplica stary nie ma żony!  
 Lub córki pięknej, której ubóstwiałbym wdzięki!  
 Kochając i niemogąc otrzymać jej ręki;  
 Nowabysię w powieści zrobiła zawiłość :  
 Tu serce, tam powinność! tu zemsta, tam naiwość! »

Tak szepeąc spiął ostrogi, koń leciał do dworu,  
 Gdy zdrużej strony strzeley wyjeżdżali z boru;  
 Hrabia lubił myśliwstwo, ledwie strzelców zoczył,  
 Zapomniawszy o wszystkim prosto ku nim skoczył,  
 Mijając bramę, ogród, płoty; gdy w zawrocie  
 Obejrzał się, i konia zatrzymał przy płocie;

Był sad —

Drzewa owocne zasadzone w rzędy

Ocieniały szerokie pole ; spodem grzędy.

Tu kapusta sędziwe schylając łysiny,

Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny ;

Tam płącząc strąki w marchwi zielonój warkoczcu.

Wysmukły bob obraca na nią tysiąc oczu ;

Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza ;

Gdzie niegdzie otyłego widać brzuch harbuza,

Który od swój łodygi aż w daleką stronę

Wtoczył się jak gość między buraki czerwone.

Grzędy rościęte międzą ; na każdym przykopie

Stoją jakby na straży, w szeregach konopie,

Cyprysy jarzyn ; ciche, proste i zielone,

Jch liście i woń służą grzędom za obronę,

Bo przez ich liście nie śmie przecisnąć się żmija,

A ich woń gąsienice i owad zabija.

Dalej maków białawe górują badyle,

Nanich, myślisz iż rojem usiadły motyle

Trzepiejące skrzydełkami, na których się mieni

Z różnaitością tęczy blask drogich kamieni ;  
 Tylą farb żywych, różnych, mak zrzenieę manii.  
 W środku kwiatów jak pełnia pomiędzy gwiazdami  
 Kragły słońecznik, licem wielkiem, gorejącem,  
 Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem.

Pod płotem wąskie, długie, wypukłe pagórki,  
 Bez drzew, krzewów i kwiatów ; ogród na ogórki.  
 Pięknie wyrosły ; liściem wielkim, rozłożystym,  
 Okryły grzędy jakby kobiercem fałdzistym.  
 Pośrodku, szła dziewczyna, w bieliznę ubrana,  
 W majowej zieloności tonąc po kolana ;  
 Zgrząd zniżając się w brózdy, zdała się nie stapać,  
 Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.  
 Słomianym kapeluszem osłoniła głowę,  
 Od skroni powiewały dwie wstążki różowe  
 I kilka pukłów światłych, rozwitych warkoczy ;  
 Na rękę miała koszyk, w dół spuściła oczy,  
 Prawą rękę podniosła, niby do chwywania ;  
 Jako dziewczę gdy rybki w kąpieli ugania  
 Bawiące się z jej nożką, tak ona co chwila  
 Z rękami i koszykiem po owoc się schyla

Który stopą nadtrąci, lub dostrzeże okiem.

Pan Hrabia zachwycony tak cudnym widokiem,  
 Stał cicho. Słyszając tentent towarzyszków w dali,  
 Ręką dał znak ażeby wstrzymać konie; stali.  
 On patrzył z wyciągniętą szyją; jak dziobaty  
 Żuraw, zdala od stada gdy odprawia czaty  
 Stojąc na jednej nodze, s czujnem oczyma,  
 I by niezasnąć kamień w drugiej nodze trzyma.

Zbudził Hrabiego szelest na plecach i skroni;  
 Był to bernardyn kwestarz Robak, a miał w dłoni  
 Podniesione do góry węzłowate sznurki:  
 Ogórków chcesz Waść, krzyknął, oto masz ogórki.  
 Wara Panie od szkody, na tutejszej grzędzie  
 Nie dla Waszeci owoc, nic s tego nie będzie —  
 Potém palcem pogroził, kaptura poprawił,  
 I odszedł; Hrabia jeszcze chwilę w miejscu bawił,  
 Śmiejąc się i klnąc razem tej nagłej przeszkodzie;  
 Okiem powrócił w ogród; ale już w ogrodzie  
 Niebyło jęj; mignęła tylko śród okienka  
 Jej różowa wstążeczka i biała sukienka.

Widać na grzędach jaką przeleciała drogą,  
 Bo liść zielony, w biegu potrącony nogą,  
 Podnosił się, drżał chwilę, aż się uspokoił,  
 Jak woda którą ptaszek skrzydłami roskroił.  
 A na miejscu gdzie stała, tylko porzucony  
 Koszyk mały z rokity, denkiem wywrócony,  
 Pogubiwszy owoce na liściach zawisał,  
 I wśród fali zielonej jeszcze się kołysał.

Po chwili wszędzie było samotnie i głucho ;  
 Hrabia oczy w dom utkwił i natężył ucho,  
 Zawsze damał, a strzelcy zawsze nieruchomie  
 Za nim stali — Aż w cichym i samotnym domie  
 Wszczął się naprzód szmer, potem gwar i krzyk wesoły,  
 Jak w ulu pustym kiedy węń wlatują pszczoły :  
 Był to znak że wracali goście s polowania,  
 I krzątała się służba około śniadania.

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki,  
 Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki ;  
 Mężczyźni tak jak weszli, w swych zielonych strojach,  
 S talerzami, s szklankami, chodząc po pokojach,

Jedli, pili, lub wsparci na okien uszakach,  
 Rosprawiali o flintach, chartach i szarakach ;  
 Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku  
 Panny szeptały s sobą; niebyło porządku,  
 Jaki się przy obiadach i wicezeraach chowa,  
 Była to w staropolskim domie moda nowa ;  
 Przy śniadaniach, Pan Sędzia choć nierad pozwalał  
 Na taki nieporządek, lecz go niepochwalał.

Różne też były dla dam i męszczyzn potrawy :  
 Tu roznoszono tace s całą służbą kawy,  
 Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,  
 Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane,  
 I s porcelany saskiej złote filiżanki,  
 Przy każdej garnuszczynek mały do śmietanki.  
 Takiej kawy jak w Polsceze niema w żadnym kraju :  
 W Polsceze, w domu porządnym, z dawnego zwyczajju,  
 Jest do robiena kawy osobna niewiasta,  
 Nazywa się Kawiarka ; ta sprowadza z miasta,  
 Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,  
 I zna tajne sposoby gotowania trunku,  
 Który ma czarność węgla, przejzystość butsztynu,

Zapach moki i gęstość miodowego płynu.  
 Wiadomo, czem dla kawy jest dobra śmietana,  
 Na wsi nietrudno o nią : bo kawiarka z rana  
 Przystawiwszy imbryki, odwiedza mleczarnie,  
 I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie  
 Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,  
 Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.

Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę,  
 Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę  
 Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,  
 W którym twarog gruzłami posiekany pływa.

Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru,  
 Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,  
 Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym  
 Uwędzone w kominie dymem jałowcowym ;  
 W końcu, wniesiono zrazy na ostatnie danie :  
 'Takie bywało w domu Sędziego śniadanie.

We dwóch izbach dwa różne skupiły się grona :  
 Starszyzna przy stoliku małym zgromadzona



Mówiła o sposobach nowych gospodarskich,  
 O nowych coraz sroższych ukazach cesarskich,  
 Podkomorzy krążące o wojnie pogłoski  
 Oceniał, i wyciągał polityczne wnioski.  
 Panna Wojska włożywszy okulary sine,  
 Zabawiała kabałą s kart Podkomorzynę.  
 W drugiej izbie toczyła młodzież rzecz o łowach,  
 W spokojniejszych i cichszych niż zwykle rozmowach :  
 Bo Assessor i Rejent, oba mówcy wiccy,  
 Pierwsi znawcy myślistwa i najlepsi strzelcy,  
 Siedzieli przeciw sobie mrukliwi i gniewni ;  
 Oba dobrze puszczały, oba byli pewni  
 Zwycięstwa swoich chartów, gdy pośród równiny  
 Znalazł się zagon chłopskiej, niezżętej jarzyny ;  
 Tam wpadł zając : już Kusy, już go Sokoł miał,  
 Gdy Sędzia dojeżdżaczy na niedzy zatrzymał ;  
 Musieli być posłuszni, chociaż w wielkim gniewie ;  
 Psy powróciły same : i nikt pewnie niewie,  
 Czy zwierz uszedł, czy wzięty ; nikt zgadnąć niezdola,  
 Czy wpadł w paszczę Kusego, czyli też Sokoła,  
 Czyli obódwurazem : różnie sądzą strony,  
 I spór na dalsze czasy trwał nierozstrzygniony.

Wojski stary od izby do izby przechodził,  
 Po obu stronach oczy rostargnione wodził,  
 Niemieszał się w myśliwych, ni w starców rozmowę,  
 I widać że czem innem zajętą miał głowę;  
 Nosił skórzaną plackę: czasem w miejscu stanie,  
 Duma długo, i —muchę zabije na ścianie.

Tadeusz s Telimena pomiędzy izbami  
 Stojąc we drzwiach na progu, rozmawiali sami;  
 Niewielki oddzielał ich od słuchaczów przedział,  
 Więc szeptali; Tadeusz teraz się dowiedział:  
 Że ciocia Telimena jest bogata Pani,  
 Że niesą kanonicznie s sobą powiązani  
 Zbyt bliskim pokrewieństwem; i nawet niepewno  
 Czy ciocia Telimena jest synowca krewną,  
 Choć ją stryj zowie siostrą, bo wspólni rodzice  
 Tak ich kiedyś nazwali mimo lat różnicę;  
 Że potem ona żyjąc w stolicy czas długi  
 Wyrządziła niezmierne Sędziemu usługi;  
 Stąd ją Sędzia szanował bardzo, i przed światem  
 Lubił może s próżności, nazywać się bratem,  
 Czego mu Telimena przez przyjaźń niewzbrania.

Ulżyły Tadeusza sercu te wyznania.  
 Wiele też innych rzeczy sobie oświadczyli;  
 A wszystko to się stało w jednej krótkiej chwili.

Ale w izbie na prawo, kusząc Assessora  
 Rzekł Rejent mimojazdem : ja mówiłem wczora,  
 Że polowanie nasze udać się niemoże :  
 Jeszcze zbyt wczesnie, jeszcze na pniu stoi zhoże,  
 I mnóstwo sznurów chłopskiej niezżętej jarzyny;  
 Stąd i Hrabia nieprzybył mimo zaprosiny.  
 Hrabia na polowaniu bardzo dobrze zna się,  
 Nieraz gadał o łowów i miejscu i czasie;  
 Hrabia chował się w obcych krajach od dzieciństwa,  
 I powiada, że to jest znakiem barbarzyństwa  
 Polować tak jak u nas, bez żadnego względu  
 Na artykuły ustaw, przepisy urzędu;  
 Nieszanując niczyich kopców ani między  
 Jeździć po cudzym gruncie, bez dziedzica wiedzy;  
 Wiosną równie jak latem zbiegać pola, knieje,  
 Zabijać nieraz lisa właśnie gdy linieje,  
 Albo cierpieć iż kotną samicę zajęczą  
 Charty w runi uszczują, a raczej zamęczą,

Z wielką szkodą zwierzyny. Stąd się Hrabia żali,  
 Że cywilizacya większa u Moskali;  
 Bo tam o polowaniu są ukazy Cara  
 I dozor policyi i na winnych kara.

Telimena ku lewej izbie obrócona,  
 Wachlując batystową chusteczką ramiona,  
 « Jak mamę kocham, rzekła, Hrabia się niemyli,  
 Znam ja dobrze Rossyą. Państwo niewierzyli  
 Gdy im nieraz mówiłam, jak tam z wielu względów  
 Godna pochwały czujność i srogość urzędów.  
 Byłam ja w Petersburgu, nie raz, nie dwa razy!  
 Miłe wspomnienia! wdzięczne przeszłości obrazy!  
 Co za miasto! Nikt s Panów niebył w Petersburku?  
 Chcecie może plan widzieć, mam plan miasta, w biórku.  
 Latem świat Petersburski zwykł mieszkać na daczy,  
 To jest w pałacach wiejskich (dacza wioskę znaczy);  
 Mieszkałam w pałacyku, tuż nad Newą rzeką,  
 Niezbyt blisko od miasta i niezbyt daleko,  
 Na niewielkim, umyślnie sypanym pagórku:  
 Ach co to był za domek! plan mam dotąd w biórku.  
 Otoż na me nieszczęście, najął dom w sąsiedztwie

Jakiś mały czynownik, siedzący na śledztwie ;  
 Trzymał kilkoro chartów ; co to za męczarnie !  
 Gdy blisko mieszka mały czynownik i psiarnie .  
 Ilekroć s książką wyszłam sobie do ogrodu,  
 Użyć księżycy blasku, wieczornego chłodu ;  
 Zaraz i pies przyleciał, i kręcił ogonem ,  
 I strzygł uszami, właśnie jakby był szalonym .  
 Nieraz się nalekałam . Serce mi wróżyło  
 S tych psów jakieś nieszczęście : tak się też zdarzyło .  
 Bo gdym szła do ogrodu pewnego poranka,  
 Chart u nóg mych zadławił mojego kochanka  
 Bouończyka ! Ach była to rokoszna psina,  
 Miałam ją w podarunku od księcia Sukina  
 Na pamiątkę ; rozumna, żywa jak wiewiórka,  
 Mam jej portrecik, tylko niechęć iść do biórka .  
 Widząc ją zadławioną, z wielkiej alteracyi  
 Dostałam mdłości, spazmów, serca palpacyi .  
 Mozeby gorzej jeszcze z mojem zdrowiem było ;  
 Szczęściem nadjechał właśnie z wizytą Kiryło  
 Gawrylicz Kozodusin , Wielki Łowczy Dworu ,  
 Pyta się o przyczynę tak złego humoru .  
 Każe wnet urzędnika przyciągnąć za uszy ;

Staje poblady, drżący i prawie bez duszy.  
 Jak śmiesz, krzyknął Kiryto piorunowym głosem,  
 Sześć wiosną łanię kotną tuż pod Carskim nosem?  
 Oslupiały czynownik, darmo się zaklinał,  
 Że polowania dotąd jeszcze niezacynał,  
 Że z Wielkiego Łowczego wielkim pozwoleniem,  
 Zwierz uszczuty zda mu się być psem nie jeleniem.  
 Jako? krzyknął Kiryto, to śmiałbys hultaju  
 Znać się lepiej na łowach i zwierząt rodzaju,  
 Niżli ja Kozodusin, Carski Jegermajster?  
 Niechajże nas rozsądzi zaraz Policmajster.  
 Wołają Policmajstra, każą spisać śledztwo:  
 Ja rzecze Kozodusin wydaję świadectwo,  
 Że to łani; on plecie że to pies domowy:  
 Rozsądź nas kto zna lepiej zwierzynę i łowy.  
 Policmajster powinność służby swej rozumiał,  
 Bardzo się nad zuchwalstwem czynownika zdumiał,  
 I odwiódłszy na stronę po bratersku radził,  
 By przyznał się do winy i tym grzech swój zgładził.  
 Łowczy udobruchany, przyrzekł że się wstawi  
 Do Cesarza, i wyrok nieco właskawi;  
 Skończyło się że charty poszły na powrozy,

A czynownik na cztery tygodnie do kozy.  
 Zabawiła nas cały wieczor ta pustota,  
 Zrobiła się nazajutrz z tego anegdota,  
 Że w sądy o mym piesku Wielki Łowczy wdał się;  
 I nawet wiem s pewnością, że sam Cesarz śmiał się.

Śmiech powstał w obu izbach. Sędzia z Bernardynem  
 Grał w maryasza, i właśnie z wyświeconem winem  
 Miał coś ważnego zadać; już ksiądz ledwo dyszał,  
 Kiedy Sędzia początek powieści posłyszał;  
 I tak nią był zajęty, że z zadartą głową,  
 I s kartą podniesioną, do bicia gotową,  
 Siedział cicho i tylko bernardyna trwożył,  
 Aż gdy skończono powieść, Pamfila położył,  
 I rzekł śmiejąc się: niech tam sobie kto chce chwali  
 Niemców cywilizacją, porządek Moskali;  
 Niechaj Wielkopolanie uczą się od Szwabów  
 Prawować się o lisa, i przyzywać drabów  
 By wziąć w areszt ogara, że wpadł w cudze gaje;  
 Na Litwie chwala Bogu stare obyczaje:  
 Mamy dosyć zwierzyny dla nas i sąsiedztwa,  
 I niebędziemy nigdy o to robić śledztwa;

I zboża mamy dosyć, psy nas nieogłodzą,  
 Że po jarzynach albo po życie pochodzą;  
 Na morgach chłopskich broń robić polowanie.

Ekonom z lewej izby rzekł: niedziw Mospanie,  
 Bo też Pan tak drogo płaci za taką zwierzynę.  
 Chłopy i radzi temu; kiedy w ich jarzynę  
 Wskoczy chart, niech otrząśnie dziesięć kłosów żyta,  
 To Pan mu kopę oddasz i jeszcze nie kwita,  
 Często chłopi talara w przydatku dostali;  
 Wierz mi Pan że się chłopstwo bardzo rozzuchwali,  
 Jeśli — Resztę dowodów Pana Ekonomia  
 Niemógł usłyszyć Sędzia, bo pomiędzy dwoma  
 Rosprawami, wszczęło się dziesięć rozmów,  
 Anegdot, opowiadań, i nakoniec sporów.

Tadeusz s Telimeną całkiem zapomnieni,  
 Pamiętali o sobie: — Rada była Pani,  
 Że jej dowcip tak bardzo Tadeusza bawił;  
 Młodzieniec jej nawzajem komplementy prawił,  
 Telimena mówiła coraz wolniej, ciszej,



I Tadeusz udawał że jej niedosłyszy  
 W tłumie rozmów : więc szeptać tak zbliżył się do niej,  
 Ze uczył twarzą lubą gorącość jej skroni,  
 Wstrzymując oddech, usta chwycił jej westchnienie  
 I okiem łowił wszystkie jej wzroku promienie.

W tém pomiędzy ich usta, mignęła znienacka  
 Naprzód mucha, a za nią tuż Wojskiego placka.

Na Litwie much dostatek. Jest pomiędzy niemi  
 Gatunek much osobny, zwanych szlacheckiemii;  
 Barwą i kształtem całkiem podobne do innych,  
 Ale pierś mają szerszą, brzuch większy od gmiunnych,  
 Latając bardzo huczają i nieznośnie brzęczą,  
 A tak silne, że tkankę przebija pajęczą,  
 Lub jeśli która wpadnie, trzy dni będzic bzykać,  
 Bo s pajakiem sam na sam może się borykać.  
 Wszystko to Wojski zbadał, i jeszcze dowodził  
 Że się s tych much szlacheckich, pomnicjszy lud rodził,  
 Że one tém są muchom, czém dla roju matki,  
 Że z ich wybiciem zginą owadów ostatki.  
 Prawda że Ochmistrzyni, ani Pleban wioski,

Nieuwierz yli nigdy w te Wojskiego wnioski  
 I trzymali inaczej o muszym rodzaju ;  
 Lec z Wojski nicodstąpił dawnego zwyczaju,  
 Ledwo dostrzegł takową muchę , wnet ją gonił.  
 Właśnie mu teraz szlachcie nad uchem zadzwonił,  
 Podwakroć Wojski machnął, zdziwił się że chybił,  
 Trzeci raz machnął, tylko co okna niewybił;  
 Aż mucha odurzona od tyla łoskotu,  
 Widząc dwóch ludzi w progu broniących odwrotu,  
 Rzuciła się z rozpaczą pomiędzy ich lica ;  
 I tam za nią mignęła Wojskiego prawica :  
 Raz tak był tęgi, że dwie odskoczyły głowy,  
 Jak rozdarte pioruncem dwie drzewa połowy ;  
 Uderzyły się mocno oboje w uszaki,  
 Tak że obojgu sine zostały się znaki.

Szczęściem nikt nieuważał, bo dotychczasowa  
 Żywa, głośna, lecz dosyć porządna rozmowa,  
 Zakończyła się nagłym wybuchem hałasu : —  
 Jak strzelcy gdy na lisa zaciągną do lasu,  
 Słysząc gdzieniegdzie trzask drzew, strzały, psiarni granie,  
 A wtem dojeżdżacz dzika ruszył niespodzianie,

Dał znak, i wrzask powstaje w strzelców i psów tłuszczy,  
 Jak gdyby się ozwały wszystkie drzewa puszczy ;  
 Tak dzieje się z rozmową : zwolna się pomyka,  
 Aż natrafi na przedmiot wielki, jak na dzika.  
 Dzikiem rozmów strzeleckich, był ów spór zażarty  
 Rejenta z Assessorem o sławne ich charty.  
 Krótka trwał, lecz zrobili wiele w jedną chwilę ;  
 Bo razem wyrzucili słów i obelg tyle,  
 Że wyczerpnęli sporu zwyczajne trzy części,  
 Przycinki, gniew, wyzwanie — i szło już do pięści.

Więc ku nim z drugiej izby wszyscy się porwali,  
 I tocząc się przeze drzwi nakształt bystrzej fali,  
 Unieśli młodą parę stojącą na progu,  
 Podobną Janusowi, dwólicemu bogu.

Tadeusz s Telimeną nim na skroniach włosy  
 Poprawili, już groźne ucichły odgłosy,  
 Szmer zmieszany ze śmiechem wśród ciżby się szerzył,  
 Nastąpił rozejm kłótni, kwestarz ją usmierzył :  
 Człowiek stary, lecz krępy i bardzo pleczysty.  
 Właśnie kiedy Assessor podbiegł do Jurysty,

Gdy już sobie gestami grozili szermierze,  
 On raptem porwał obu s tyfu za kołnierze,  
 I dwakroć uderzywszy głowy obie mocne  
 Jedną o drugą jako jaja wielkonocne,  
 Roskrzyżował ramiona nakształt drogokazu  
 I we dwa kąty izby rzucił ich od razu;  
 Chwilę z rościagnionemi stał w miejscu rękami,  
 I Pax, pax, pax vobiscum krzyczał, pokój z wami!

Zdziwiły się, zaśmiały nawet strony obie :  
 Przez szacunek należny duchownej osobie,  
 Nieśmiano śajać mnicha ; a po takiej probie  
 Nikt też nie miał ochoty zaczynać z nim zwadę ,  
 Zaś kwestarz Robak skoro uciszył gromadę,  
 Widać było że wcale triumfu nieszukał ,  
 Ani groził klótnikom więcej, ani fukał;  
 Tylko poprawił kaptur, i ręce za pasem  
 Zatknąwszy, wyszedł cicho s pokoju.

Tym czasem

Podkomorzy i Sędzia między dwiema strony  
 Plac zajęli. Pan Wojski jakby przebudzony

Z głębokiego dumania, na środek wystąpił,  
 Obiegał zgromadzenie ognistą źrenicą,  
 I gdzie szmer jeszcze słyszał, jak ksiądz kropielnicą,  
 Tam uciszając machał swą placką ze skóry;  
 Wreszcie podniosłszy trzonek s powagą do góry,  
 Jak laskę marszałkowską, nakazał milczenie.

Uciszcie się! powtarzał, miejcie też baczenie,  
 Wy co jesteście pierwsi myśliwi w powiecie,  
 Z gorszącej kłótni waszej co będzie? czy wiecie?  
 Oto młodzież na której Ojczyzny nadzieje,  
 Która ma wsławiać nasze ostępy i knieje,  
 Która niestety, i tak zaniedbuje łowy,  
 Może do ich wzgardzenia weźmie pochop nowy!  
 Widząc, że ci co innym mają dać przykłady,  
 Z łowów przynoszą tylko poswarki i zwady.  
 Miejcie też wzgląd powinny dla mych włosów siwych;  
 Bo znałem większych dawniej niżli wy myśliwych,  
 A sądziłem ich nieraz sądem polubownym.  
 Któż był w lasach Litewskich Rejtanowi równym?  
 Czy obławę zaciągnąć, czy spotkać się ze zwierzem,  
 Kto z Białopiotrowiczem porówna się Jerzym?

Gdzie jest dziś taki strzelec jak szlachcic Żegota ,  
 Co kulą s pistoletu w biegu trafiał kota ?  
 Terajewicza znałem, co idąc na dziki  
 Niebrał nigdy innego oręża prócz piki !  
 Budrewicza co chodził z niedźwiedziem w zapasy :  
 Takich mężow widziały niegdyś nasze lasy !  
 Jeśli do sporu przyszło, jakże spór godzili ?  
 Oto obrali sędziów, i zakład stawili.  
 Ogiński sto włók lasu raz przegrał o wilka,  
 Niesiołowskiemu borsuk kosztował wsi kilka !  
 I wy Panowie pójdźcie za starych przykładem,  
 I rostrzygnijcie spór wasz choć mniejszym zakładem.  
 Słowo wiatr, w sporach słownych nigdy nie masz końca,  
 Szkoda ust dłużej suszyć kłótnią o zajęcia ;  
 Więc polubownych sędziów najpierwej obierzcie,  
 A co wyrzekną, temu sumiennie zawiercie.  
 Ja uproszę Sędziego, ażeby niebronił  
 Dojeżdźczaczowi, choćby po pszenicy gonił ;  
 I tuszę że tę łaskę otrzymam od Pana :  
 To wyrzekłszy, Sędziego ścisnął za kolana.

• Konia, zawołał Rejent, stawię konia z rzędem ,

I opiszę się jeszcze przed ziemskim urzędem,  
 Iż ten pierścień Sędziemu w salarium złożę. —  
 — « Ja, rzekł Assessor, stawię me złote obroże,  
 Jaszczurem wykładane s kółkami ze złota,  
 I smycz tkany jedwabny, którego robota  
 Równie cudna jak kamień, co się na nim świeci.  
 Chciałem ten sprzęt zostawić w dziedzictwie dla dzieci,  
 Jeślibym się ożenił : ten sprzęt mnie darował  
 Książę Dominik, kiedym z nim razem polował  
 I z marszałkiem Sanguszką księciem, z jenerałem  
 Mejenem, i gdy wszystkich na charty wyzwiałem.  
 Tam bezprzykłądną w dziejach polowania sztuką,  
 Uszczułem sześć zajęcy pojedynczą suką.  
 Polowaliśmy wtenczas na Kupiskiem błoniu ;  
 Książę Radziwiłł niemógł dosiedzieć na koniu ;  
 Ssiadł, i objąwszy sławną mą charcię kanię,  
 Trzykroć jej w samą głowę dał pocałowanie,  
 A potem trzykroć ręką klasnąwszy po pysku,  
 Rzekł, mianuję cię odtąd Księżną na Kupisku : —  
 Tak Napoleon daje wodzom swoim księstwa,  
 Od miejsce na których wielkie odnieśli zwycięstwa.

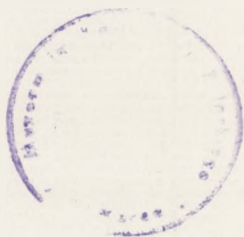
Telimena znudzona zbyt długiemu swary,  
 Chciała wyjść na dziedziniec, lecz szukała pary,  
 Wzięła koszyczek s kofka : • Panowie jak widzę,  
 Chcecie zostać w pokoju, ja idę na rydze ;  
 Kto łaska, proszę za mną • : rzekła — koło głowy  
 Obwijając czerwony szal kaszemirowy ;  
 Córeczkę Podkomorstwa wzięła w jedną rękę,  
 A drugą podchyliła do kostek sukienkę ;  
 Tadeusz milczkiem za nią na grzyby pośpieszył.

Zamiar przechadzki bardzo Sędziego ucieszył,  
 Widział sposób rozjęcia krzykliwego sporu,  
 A więc krzyknął : Panowie, po grzyby do boru!  
 Kto z najpiękniejszym rydzem do stołu przybędzie,  
 Ten obok najpiękniejszej Paniunki usiedzie ;  
 Sam ją sobie wybierze. Jeśli znajdzie dama,  
 Najpiękniejszego chłopca weźmie sobie sama.





**KSIĘGA TRZECIA.**



# GRYZO.

---

## TREŚĆ.

Wyprawa Hrabia na sad—Tajemnicza nimfa gęsi pasie—Podobieństwo grzybo-brania do przechadzki cieniów elizeyjskich—Gatunki grzybow—Telimna w świątyni dumania—Narały dotyczące się postanowienia Tadeusza — Hrabia przeżyta — Tadeusza uwagi matarskie nad drzewami i obłokami -- Hrabiego myśli o sztuce—Dzwon—Bilecik—Niedźwiedz Mospanie!

---

Hrabia wracał do siebie lecz konia wstrzymywał,  
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;  
I raz mu się zdawało, że znouu z okienka  
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,  
I coś lekkiego znouu upadło z wysoka,  
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,  
Pomiędzy zielonemi świeciło ogórki:

Jako promień słoneczny wykradłszy się s chmurki,  
 Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę,  
 Lub śród zielonej łąki w drobną wody szybę.

Hrabia ssiadł s konia, sługi odprawił do domu,  
 A sam ku ogrodowi ruszył pokryjomu;  
 Dobiegł wkrótce parkanu, znalazł w nim otwory,  
 I weisnął się pocichu, jak wilk do obory;  
 Nieszczęściem trącił krzaki suchego agrestu.  
 Ogrodniczka jak gdyby zlekła się szelestu,  
 Oglądała się wkoło, lecz nie niespostrzegła;  
 Przecież ku drugiej stronie ogrodu pobiegła.  
 A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szesawie,  
 Między liście łopuchu, na rękach, po trawie,  
 Skacząc jak żaba, cicho, przyczołgał się blisko,  
 Wytknął głowę, i ujrzał cudne widowisko.

W tej części sadu, rosły tu i ówdzie wiśnie,  
 Śród nich zboże, w gatunkach zmieszanych umyślnie:  
 Pszenica, kukuruza, bob, jęczmień wąsaty,  
 Proso, groszek, a nawet krzewiuy i kwiaty.  
 Domowemu to ptastwu, taki ochmistrzyni

Wymyśliła ogródek : sławna gospodyni,  
 Zwała się Kokosznicka, z domu Jendykowi-  
 czówna; jej wynalazek epokę stanowi  
 W domowém gospodarstwie; dziś powszechnie znany,  
 Lecz w owych czasach jeszcze za nowość podany,  
 Przyjęty pod sekretem od niewielu osób,  
 Nim go wydał kalendarz, pod tytułem : *Sposób*  
*Na jastrzębie i kanie, albo nowy środek*  
*Wychowywania drobiu* — był to ów ogródek.

Jakoż zaledwie kogut co odprawia warty  
 Stanie, i nieruchomie dzierząc dziob zadarty,  
 I głowę grzebieniastą pochyliwszy bokiem,  
 Aby tém łacniej w niebo mógł celować okiem,  
 Dostrzeże wiszącego jastrzębia wśród chmury;  
 Krzyknie : zaraz w ten ogród chowają się kury,  
 Nawet gęsi i pawie, i w nagłym przestraszu  
 Gołębie gdy niemogą schronić się na dachu.

Teraz w niebie żadnego niewidziano wroga,  
 Tylko skwarzyła słońca letniego pożoga,  
 Od niej ptaki w zbożowym ukryły się lasku ;

Tamte leżą w murawie, te kąpią się w piasku.

Sród ptaszyczych głów sterczały główki ludzkie małe,  
 Odkryte; włosy na nich krótkie, jak len białe;  
 Szyje nagię do ramion, a pomiędzy nimi  
 Dzieweczyna głową wyższa, z włosami dłuższymi;  
 Tuż za dziećmi paw siedział, i piór swych obręcze  
 Szeroko rozprzestrzenił w różnofarbną tęczę,  
 Na której główki białe jak na tle obrasku,  
 Rzucone w ciemny błękit, nabierały blasku,  
 Obrysowane w koło kręgiem pawich oczu  
 Jak wiankiem gwiazd, świeciły w zbożu jak w przezroczu  
 Pomiędzy kukuruzy złocistemi łaski,  
 I angielską trawicą posrebrzaną w paski,  
 I szyćrem koralowym, i zielonym ślazem,  
 Których kształty i barwy mieszały się razem,  
 Niby krata ze srebra i złota pleciona  
 A powiewna od wiatru jak lekka zasłona.

Nad gęstwą różnofarbnych kłosów i bądlów  
 Wisiała jak baldakim jasna mgła motylów,  
 Zwanych babkami, których pochwórne skrzydełka

Lekkie jak pajęczyna, przejrzyste jak szkiełka,  
 Gdy w powietrzu zawisną zaledwo widome,  
 I chociaż brzęczą, myślisz że są nieruchome.

Dziewczyna powiewała podniesioną w rękę  
 Szarą kitką, podobną do piór strusich pęku,  
 Nią zdała się oganiać główki niemowlęce  
 Od złotego motylów deszczu — w drugiej ręce  
 Coś u niej rogatego, złocistego świeci,  
 Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:  
 Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei,  
 Miało zaś kształt złotego rogu Amaltei.

Tak zatrudniona, przecież obracała głowę  
 Na pamiętne szelestem krzaki agrestowe,  
 Niewiedząc, że napastnik już s przeciwnej strony  
 Zbliżył się czołgając jak wąż przez zagony;  
 Aż wyskoczył z łopucha, spójrzała, — stał blisko,  
 O cztery grzędy od niej i kłaniał się nisko.  
 Już głowę odwróciła i wzniosła ramiona,  
 I zrywała się lecieć jak kraska spłoszona,  
 I już lekkie jej stopy wionęły nad liściem,

Kiedy dzieci przełękły podróżnego wniściem  
 I ucieczką dziewczyny, wrzasnęły okropnie;  
 Posłyszała, uczuła że jest nierostropnie  
 Działwę małą, przełękła i samą porzucić:  
 Wraciała wstrzymując się, lecz musiała wrócić,  
 Jak niechętny duch, wróżka przyzwany zaklęciem,  
 Przybiegła z najkrzykliwszym bawić się dziecięciem,  
 Siadła przy niem na ziemi, wzięła je na łono,  
 Drugie głaskała ręką i mową pieśzozoną;  
 Aż się uspokoiły, objąwszy w rączęta  
 Jej kolana i tuląc główki jak pisklęta  
 Pod skrzydło matki. Ona rzekła: czy to pięknie  
 Tak krzyzczyć? czy to grzecznie? ten Pan was się złąknie,  
 Ten Pan nieprzyszedł straszyć, to nie dziad szkaradny,  
 To gość, dobry Pan, patrzcie tylko jaki ładny.

Sama spójrzała: Hrabia uśmiechnął się mile,  
 I widocznie był wdzięczen jej za pochwał tyle;  
 Postrzegła się, umilkła, oczy opuściła,  
 I jako róży pączek cała się sploniła.

W istocie był to piękny Pan: słusznój urody,



Twarz miał pociągłą, blade lecz świeże jagody,  
 Oczy modre, łagodne, włos długi, biały;  
 Na włosach, listki ziela i kosmyki trawy,  
 Które Hrabia oberwał pełznąć przez zagony,  
 Zieleniły się jako wieniec rozpleciony.

« O ty, rzekł, jakiemkolwiek uczęzę cię imieniem,  
 Bóstwem jesteś czy Ninfą, duchem czy widzeniem!  
 Mów! własnali cię wola na ziemię sprowadza,  
 Obcali więzi ciebie na padole władza?  
 Ach domyślałam się — pewnie wzgardzony miłośnik  
 Jaki Pan możny, albo opiekun zazdrośnik,  
 W tym cię parku zamkowym jak zaklętą strzeże!  
 Godna by o cię bronią walczyli rycerze,  
 Byś została romansów heroiną smutnych!  
 Odkryj mi Piękna tajnie twych losów okrutnych!  
 Znajdziesz wybawiciela — odtąd twém skinieniem,  
 Jak rządysz sercem mojem, tak rządz mem ramieniem.»  
 Wyciągnął ramie—

Ona z rumieńcem dziewczyn  
 Ale z rozweseloném słuchoła obliczem:

Jak dziecko lubi widzieć obraski jaskrawe  
 I w liczmanach błyszczących znajduje zabawę,  
 Nim rozezna ich wartość, tak się słuch jej pieści  
 Z dźwięcznymi słowy, których niepojęła treści.  
 Nakoniec zapytała: skąd tu Pan przychodzi?  
 I czego tu po grzędach szuka Pan Dobrodziej?

Hrabia oczy roztworzył, zmieszany, zdziwiony,  
 Milezał; wreszcie zniżając swej rozmowy tony,  
 Przepraszam, rzekł, Panienko! widzę żeś pomieszał  
 Zabawy! ach przepraszam, jam właśnie pośpieszał  
 Na śniadanie; już późno, chciałem na czas zdążyć,  
 Panienska wie że drogą trzeba w koło krążyć,  
 Przez ogród zdaje mi się jest do dworu prościej.  
 Dziewczyna rzekła: tędy droga Jegomości;  
 Tylko grząd psuć nie trzeba; tam między murawą  
 Scieszka — W lewo, zapytał Hrabia, czy na prawo?  
 Ogrodniczka podniosłszy błękitną oczetą,  
 Zdawała się go badać ciekawością zdjętą:  
 Bo dom o tysiąc kroków widny jak na dłoni,  
 A Hrabia drogi pyta? Ale Hrabia do niej  
 Chciał koniecznie coś mówić i szukał powodu

Rozmowy — Panna mieszka tu? blisko ogrodu?  
 Czy na wsi? jakto było, żem Panny we dworze  
 Niewidział? czy niedawno tu? przyjezdna może?  
 Dziewczewstrząsnęło głową; — Przepraszam Panienko,  
 Czy nie tam pokoj Panny, gdzie owe okienko?

Myślił zaś w duchu, jeśli niejest Heroiną  
 Romansów, jest młodziuchną, przesliczną dziewczyną.  
 Zbyt często wielka dusza, myśl wielka ukryta  
 W samotności, jak róża śród lasów roskwita;  
 Dostyc ją wynieść na świat, postawić przed słońcem  
 Aby widzów zdziwiła jasnych barw tysiącem!

Ogrodniczka tymczasem powstała w milczeniu,  
 Podniosła jedno dziecko zwiśle na ramieniu,  
 Drugie wzięła za rękę, a kilkoro przodem  
 Zaganiając jak gąski, szła dalej ogrodem.

Odwróciwszy się rzekła — czy też Pan niemoże  
 Rozbiegłe moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?  
 — Ja ptastwo pędzać? krzyknął Hrabia z zadziwieniem;  
 Ona tymczasem znikła zakryta drzew cieniem.

Chwilę jeszcze s szpaleru przez majowe zwoje  
Prześwicało coś na wskroś jakby oczu dwoje.

Samotny Hrabia długo jeszcze stał w ogrodzie :  
Dusza jego jak ziemia po słońca zachodzie,  
Ostygła powoli, barwy brała ciemne :  
Zaczął marzyć, lecz sny miał bardzo nieprzyjemne.  
Zbudził się, sam niewiedząc, na kogo się gniewał ;  
Niestety mało znalazł ! nadto się spodziewał !  
Bo gdy zagonem pełznął ku owej pasterce,  
Paliło mu się w głowie, skakało w nim serce ;  
Tyle wdzięków w tajemnej nimfie upatrywał,  
W tyle ją cudów ubrał, tyle odgadywał !  
Wszystko znalazł inaczey : prawda że twarz ładną,  
Kibić miała wysmukłą, ale jak nieskładną !  
A owa pulchność liców i rumieńca żywość  
Malująca zbyteczną, prostacką szczęśliwość !  
Znak że myśl jeszcze drzemie, że serce nieczynne :  
I owe odpowiedzi, tak wiejskie, tak gminne !  
Pocóż się ludzi, krzyknął, zgaduję, po czasie !  
Moja nimfa tajemna pono gości pasie !

Z Nimfy zniknięciem całe czarowne przezrocze  
 Zmieniło się: te wstęgi, te kraty urocze  
 Złote, srebrne, niestety! więc to była słoma?

Hrabia z załamanemi poglądał rękoma  
 Na snopek uwiązanej trawami mietlicy,  
 Którą brał za pęk strusich piór w ręku dziewicy.  
 Niezapomniał naczyń: złocista konewka,  
 Ow rożek Amaltei, była to marchewka!  
 Widział ją w ustach dziecka pożeraną checiwie:  
 Więc było po uroku! po czarach! po dziwie!

Tak chłopiec kiedy ujrzy cykoryi kwiaty  
 Wabiące dłoń miękkiemi, lekkimi bławaty,  
 Chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie, i s podmuchem  
 Cały w wiatr na powietrzu rozleci się puchem,  
 A w ręku widzi tylko badacz zbyt ciekawy  
 Nagą łodygę szarozielonawej trawy.

Hrabia weisnął na oczy kapelusz i wracał  
 Tamtędy kędy przyszedł, ale drogę skracał,  
 Stąpając po jarzynach, kwiatkach i agreście,

Aż przeskoczywszy parkan odetchnął nareście!  
 Przypomniał że dziewczynie mówił o śniadaniu;  
 Może już wszyscy wiedzą o jego spotkaniu  
 W ogrodzie, blisko domu? może szukać wysłą?  
 Postrzegli że niekał? kto wie co pomyśla?  
 Więc wypadało wrócić. Chyląc się u płotów  
 Około miedz i zielska, po tysiącach zwrotów  
 Rad był przecież że wyszedł w końcu na gościniec,  
 Który prosto prowadził na dworski dziedziniec.  
 Szedł przy płocie a głowę odwracał od sadu  
 Jak złodziej od śpiehlerza, aby niedać śladu  
 Że go myśli nawiedzić, albo już nawiedził.  
 Tak Hrabia był ostrożny choć go nikt nieśledził;  
 Patrzył w stronę przeciwną ogrodu, na prawo.

Był gaj zrzadka zarosły, wysłany murawą,  
 Poję kobierecach, na wskroś białych pniów brzozowych,  
 Pod namiotem obwisłych gałęzi majowych,  
 Snuło się mroństwo kształtów, których dziwne ruchy,  
 Niby tańce, i dziwny ubior: istne duchy  
 Błądzące po księżycu. Tamei w czarnych, ciasnych,  
 Ci w długich, rospuszczonych szatach, jak śnieg jasnych:

Tamten pod kapeluszem jak obręcz szerokim,  
 Ten z gołą głową; inni jak gdyby obłokiem  
 Obwiani, idąc, na wiatr puszczaają zasłony  
 Ciągające się za głową, jak komet ogony.  
 Każdy w innej postawie: ten przyrosł do ziemi,  
 Tylko oczyma kręci na dół spuszczone,  
 Ów patrząc wprost przed siebie, niby senny kroczy  
 Jak po linie, ni w prawo, ni w lewo niezboczy;  
 Wszyscy zaś ciągle w różne schylają się strony  
 Aż do ziemi, jak gdyby wybijać pokłony.  
 Jeżeli się przybliżą albo się spotkają,  
 Ani mówią do siebie, ani się witają,  
 Głęboko zadumani, w sobie pogrążeni.  
 Hrabia widział w nich obraz Elizejskich cieui,  
 Które chociaż boleściom, troskom niedostępne,  
 Błąkają się spokojne, ciche, lecz posępne.

Któżby zgadnął że owi, tak mało ruchomi,  
 Owi milezący ludzie, są nasi znajomi?  
 Sędziowscy towarzysze! z hucznego śniadania  
 Wyszli na uroczysty obrzęd grzybo-brania:  
 Jako ludzie rozsądni, umieją miarkować

Mowy i ruchy swoje, aby je stosować  
 W każdej okoliczności do miejsca i czasu.  
 Dla tego, nim ruszyli za Sędzią do lasu,  
 Wzięli postawy, tudzież ubiory odmienne,  
 Służące do przechadzki opończe płócienne  
 Któremi osłaniają po wierzchu kontusze,  
 A na głowy słomiane wdziali kapelusze,  
 Stąd biali wyglądają, jak czyscowe dusze.  
 Młodzież także przebrana, oprócz Telimcu  
 I kilku po francusku chodzących.

Tęj sceny

Hrabia niepojął, nieznał wiejskiego zwyczaju,  
 Więc zdziwiony niezmiernie biegł pędem do gaju.

Grzybów było w bród : chłopcy biorą krasnolice,  
 Tyle w pieśniach litewskich sławione *lisice*,  
 Co są godłem panieństwa : bo czerw ich niejada  
 I dziwna, żaden owad na nich nieusiada.  
 Panienki za wysmukłym gonią *borowikiem*  
 Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.  
 Wszysey dybią na *rydza*; ten wzrostem skromniejszy



I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,  
 Czy świeży, czy solony, czy jesiennęj pory,  
 Czy zimą. Ale Wójski zbierał *muchomor*.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku  
 Dla szkodliwości albo niedobrego smaku,  
 Lecz niesą bez użytku, one zwierza pasą  
 I gniazdem są owadów i gajów okrasą.  
 Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi  
 Naczyń stołowych sterczą: tu s kragłemi brzegi  
*Surojadki* srebrzyste, żółte i czerwone,  
 Niby czareczki różnem winem napełnione;  
*Koźlak* jak przewrócone kubka dno wypukłe,  
*Lejki* jako szampańskie kieliszki wysmukłe,  
*Bielaki* kragłe, białe, szerokie i płaskie,  
 Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,  
 I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona  
*Purchawka*, jak pieprzniczka — zaś innych imiona  
 Znane tylko w zajęczym, lub wilczym języku,  
 Od ludzi nieochrzczone; a jest ich bez liku.  
 Ni wilczych ni zajęczych nikt dotknąć nieraczy,  
 A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,

Zagniewany, grzyb złamie, albo nogą kopnie ;  
 Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nierostropnie.

Telimena ni wilczych, ni ludzkich niezbiera,  
 Rostargniona, znudzona, do koła spoziera,  
 Z głową w górę zadartą. Więc Pan Rejent w gniewie  
 Mówił o niej, że grzybów szukała na drzewie ;  
 Assessor ją złośliwiej, równał do samicy,  
 Która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.

Jakoż zdała się szukać samotności, ciszy,  
 Oddalała się zwolna od swych towarzyszy,  
 I szła lasem na wzgórek pochyło wyniosły,  
 Ocieniony, ho drzewa gęściej na nim rosły.  
 Wśrodku szarzał się kamień ; strumień s pod kamienia  
 Szumiał, tryskał, i zaraz, jakby szukał cienia  
 Chował się między gęste i wysokie zioła,  
 Które wodą pojone bujały do koła ;  
 Tam ów bystry swawolnik spowijany w trawę  
 I liściem podesłany, bez ruchu, bez wrzawy,  
 Niewidzialny i ledwie dosłyszany szepec,  
 Jako dziecko krzykliwe złożone w kolebec,

Gdy matka nad niem zwiąże firanki majowe  
 I liścia makowego nasypie pod głowę:  
 Miejsce piękne i ciche, tu się często schrania  
 Telimena, zowiąc je *Świątynią dumania*.

Stanąwszy nad strumieniem, rzuciła na trawnik  
 Z ramion, swój szal powiewny, czerwony jak krwawnik,  
 I podobna pływaczce, która do kąpieli  
 Zimnej schyla się, nim się zanurzyć ośmieli,  
 Klęknęła i powoli chyliła się bokiem;  
 Wreszcie, jakby porwana koralu potokiem,  
 Upadła nań i cała wzdłuż się rozpostarła,  
 Łokcie na trawie, skronie na dłoniach oparła,  
 Z głową na dół skłonioną; na dole u głowy,  
 Błysnął francuskiej książki papier welinowy;  
 Nad alabastrowemi stronicami księgi,  
 Wiły się czarne pukle i różowe wstęgi.

W szmaragdzie bujnych traw, na krwawnikowym szalu,  
 W sukni długiej, jak gdyby w powłoce koralu,  
 Od której odbijał się włos z jednego końca,  
 Z drugiego czarny trzewik; po bokach błyszcząca

Snieżną pończoszką, chustką, białością rąk, lica,  
 Wydawała się zdala jak pstra gąsienica,  
 Gdy wpełźnie na zielony liść klonu.

Niestety !

Wszystkie tego obrazu wdzięki i zalety,  
 Darmo czekały znawców, nikt niezważał na nie,  
 Tak mocno zajmowało wszystkich grzybo-branie.  
 Tadeusz przecież zważał i w bok strzelał okiem,  
 I nieśmiejąc iść prosto, przysuwał się hokiem :  
 Jak strzelec gdy w ruchomej, gałęzistej szopie,  
 Usiadłszy na dwóch kołach, podjeżdża na dropie,  
 Albo na siewki idąc, przy koniu się kryje,  
 Strzelbę złoży na siodle lub pod końską szyję,  
 Niby to bronę włóczy, niby iedzie miedzą,  
 A coraz się przybliża kędy ptaki siedzą ;  
 Tak skradał się Tadeusz.

Sędzia czaty zmieszał

I przeciąwszy mu drogę, do źródła pośpieszał.  
 Z wiatrem igrały białe poły szarafana,  
 I wielka chustka w pasie końcem uwiązana ;

Słomiany, podwiązany kapelusz, od ruchu  
 Nagłego chwiał się z wiatrem jako liść żopuchu,  
 Spadając to na barki, to znowu na oczy;  
 W ręku ogromna laska : tak Pan Sędzia kroczy.  
 Schyliwszy się i ręce obmywszy w strumieniu,  
 Usiadł przed Telimeną na wielkim kamieniu,  
 I wsparłszy się oburącz na gałkę słoniową  
 Trzciny ogromnej, s taką ozwał się przemową.

Widzi Aśka od czasu jak tu u nas gości  
 Tadeuszek, niemało mam niespokojności;  
 Jestem bezdzietny, stary; ten dobry chłopczyna,  
 Wszakto moja na świecie pociecha jedyna,  
 Przyszły dziedzic fortunki mojej. Z łaski nieba  
 Zostawię mu kęs niezły szlacheckiego chleba;  
 Już mu też czas obmyśleć los, postanowienie :  
 Ale zważajno Aśka moje utrapienie !  
 Wiesz że Pan Jacek brat mój, Tadeusza ociec  
 Dziwny człowiek, zamiarów jego trudno dociec,  
 Niechce wracać do kraju, Bóg wie gdzie się kryje,  
 Nawet niechce synowi oznajmić że żyje,  
 A ciągle nim zarządza. Naprzód w legiony

Chciał go posyłać; byłem okropnie zmartwiony.  
 Potem zgodził się przecie by w domu pozostał  
 I żeby się ożenił. Jużbyć żony dostał;  
 Partyę upatrzyłem; nikt z obywateli  
 Niewyrówna z imienia ani z parenteli  
 Podkomorzemu; jego starsza córka Anna  
 Jest na wydaniu, piękna i posażna Panna.  
 Chciałem zagaić. — Na to Telimena zbladła,  
 Złożyła książkę, wstała nieco i usiadła.

Jak Mamę kocham, rzekła, czy to Panie bracie  
 Jest w tem sens jaki, czy wy Boga w sercu macie?  
 To myślisz Tadeusza zostać Dobrodziejem,  
 Jeśli młodego chłopca zrobisz grykosiejem!  
 Świat mu zawiązesz! wierz mi, kląć was kiedyś będzie!  
 Zakopać taki talent w lasach i na grzędzie!  
 Wierz mi, ile poznałam, pojętne to dziecko,  
 Warto, żeby na wielkim przetańo się świecie;  
 Dobrze brat robi gdy go do stolicy wyśle;  
 Naprzykład do Warszawy? lub wie brat co myślę,  
 Żeby do Peterburka? Ja pewnie tej zimy  
 Pojadę tam dla sprawy: razem ułożymy

Co zrobić s Tadeuszem ; znam tam wiele osób,  
 Mam wpływ : to najlepszy kreacyi sposób.  
 Za mą pomocą znajdzie wstęp w najpierwsze domy,  
 A kiedy będzie ważnym osobom znajomy,  
 Dostanie urząd, order ; wtenczas niech porzuci  
 Służbę, jeżeli zechce, niech do domu wróci,  
 Mając już i znaczenie i znajomość świata.  
 I cóż brat myśli o tém ? — Jużci w młode lata,  
 Rzekł Sędzia, nieźle chłopcu trochę się przewietrzyć,  
 Obejrzeć się na świecie, między ludźmi przetrzeć ;  
 Ja za młodu niemało świata objechałem,  
 Byłem w Piotrkowie, w Dubnie, to za trybunałem  
 Jadąc jako palestrant, to własne swe sprawy  
 Forytując, jeździłem nawet do Warszawy.  
 Człęk niemało skorzystał ! chciałbym i synowca  
 Wysłać pomiędzy ludzie, prosto jak wędrowca,  
 Jak czeladnika który terminuje lata  
 Ażeby nabył trochę znajomości świata.  
 Nie dla rang, ni orderów ! proszę uniżenie,  
 Ranga moskiewska, order, cóż to za znaczenie ?  
 Któryż to z dawnych Panów, ba nawet dzisiejszych,  
 Między szlachtą w powiecie nieco zamożniejszych,

Dbaj o podobne fraszki; przecież są w estymie  
 U ludzi, bo szanujęm w nich ród, dobre imie,  
 Albo urząd, lecz ziemski, przyznany wyborem  
 Obywatelskim, nie zaś czyjś tam faworem. —

Telimena przerwała: « Jeśli brat tak myśli,  
 Tém lepiej, więc go jako wojażera wyślij. »

Widzi siostra, rzekł Sędzia, skrobiąc smutnie głowę  
 Chciałbym bardzo, cóż kiedy mam trudności nowe!  
 Pan Jacek niewypuszcza z opieki swej syna,  
 I przysłał mi tu właśnie na kark Bernardyna  
 Robaka, który przybył z tamtej strony Wisły,  
 Przyjaciół brata, wszystkie wie jego zamysły;  
 A więc o Tadeusza już wyrzekli losie,  
 I chcą by się ożenił, aby pojął Zosię,  
 Wychowanek Wać Pani; oboje dostaną,  
 Oprócz fortunki mojej, z łaski Jacka wiano  
 W kapitałach; wiesz Aśka że ma kapitały  
 I z łaski jego mam też fundusz prawie cały,  
 Ma więc prawo rozrządzać — Aśka pomyśl o tém  
 Żeby się to zrobiło najmniejszym kłopotem;



Trzeba ich s sobą poznać. Prawda, bardzo młodzi,  
 Szczególnie Zosia mała, lecz to nic nieszkodzi;  
 Czasby już Zośkę wreszcie wydobyć z zamknięcia,  
 Bo wszakci to już pono wyrasta z dziecięcia.

Telimena zdziwiona i prawie wylękała,  
 Podnosiła się coraz, na szalu uklękała,  
 Zrazu słuchoła pilnie, potem dłoni ruchem  
 Przeczyła, ręką żwawo wstrząsając nad uchem,  
 Odpędzając jak owad nieprzyjemne słowa  
 Na powrót w usta mówcy —

« A ! A ! to rzecz nowa !

Czy to Tadeuszowi szkodzi czy nieszkodzi,  
 Rzekła z gniewem, sądz o tém sam W Pan Dobrodziej,  
 Mnie nic do Tadeusza, sami o nim radźcie,  
 Zróbcie go ekonomem, lub w karczmie posadźcie,  
 Niech szynkuje lub z lasu niech zwierzyne znosi :  
 Z nim sobie co zechcecie zróbcie; lecz do Zosi ?  
 Co Wać Państwu do Zosi ? ja jej ręką rządę,  
 Ja sama. Że Pan Jacek dawał był pieniądze  
 Na wychowanie Zosi i że jej wyznaczył

Małą pensyjkę roczną, więcej przyrzec raczył;  
 Toć jej jeszcze niekupił. Z resztą Państwo wiecie,  
 I dotąd jeszcze o tem wiadomo na świecie,  
 Że hojność Państwa dla nas nie jest bez powodu,  
 Winni coś Soplicowie dla Horeszków rodu.\*  
 (Tej części mowy Sędzia słuchoł z niepojętym  
 Pomieszaniem, żałością i widocznym wstrętem;  
 Jakby lękał się reszty mowy, głowę skłonił,  
 I ręką potakując, mocno się zapłonił.)

Telimena kończyła: byłam jej piastunką,  
 Jestem krewną, jedyną Zosi opiekunką.  
 Nikt oprócz mnie niebędzie myślił o jej szczęściu —  
 A jeśli ona szczęście znajdzie w tem zamęściu?  
 Rzekł Sędzia, wzrok podnosząc; jeśli Tadeusza  
 Podoba? — Czy podoba? to na wierzbie gruszka;  
 Podoba, niepodoba, a to mi rzecz ważna!  
 Zosia niebędzie, prawda, partya posażna,  
 Ale też niejest z lada wsi, lada szlachecianka,  
 Idzie z Jaśnie Wielmożnych, jest Wojewodzianka,  
 Rodzi się z Horeszkówny; małżonka dostanie!  
 Staraliśmy się tyle o jej wychowanie!

Chybaby tu zdziczała — Sędzia pilnie słuchoł  
 Patrząc w oczy; zdało się że się udobruchoł,  
 Bo rzekł dosyć wesoło: no to i cóż robić,  
 Bóg widzi, szczerze chiołem interestu dobieć;  
 Tylko bez gniewu, jeśli Aśka się niezgodzi,  
 Aśka ma prawo; smutno — gniewać się nie godzi;  
 Radziłem bo brat kazał, nikt tu nieprzymusza;  
 Gdy Aśka rekuzuje Pana Tadeusza,  
 Odpisuje Jackowi że nie z mojej winy,  
 Niedojdą Tadeusza z Zosią zaręczyny.  
 Teraz sam będę radzić; pono s Podkomorzyn  
 Zagaimy swatostwo i resztę ułożym.

Przez ten czas Telimena ostygła z zapołu:  
 • Ja nie nierckuzuję, braciszku, pomału!  
 Sam mówiłeś że jeszcze zawczesnie — zbyt młodzi —  
 Rospatrzmy się, czekajmy, nie to niezaszkodzi,  
 Poznajmy s sobą Państwu młodych; będziem zważać,  
 Niemożna szczęścia drugich tak na traf narażać:  
 Ostrzegam tylko weześnie, niech brat Tadeusza  
 Nicnamawia, kochać się w Zosi nieprzymusza,  
 Bo sree niejest sługa, niezna co to pany,

I nieda się przemocą okuwać w kajdany. —

Zaczem Sędzia powstawszy odszedł zamysłony ;  
Pan Tadcusz s przeciwnej przybliżył się strony,  
Udając że szukanie grzybów tam go zwabia;  
W tymże kierunku zwolna posuwa się Hrabia.

Hrabia podczas Sędzięgo sporów s Telimeną  
Stał za drzewami, mocno zdziwiony tą sceną ;  
Dobył s kieszeni papier i ołówek , sprzęty  
Które zawsze miał s sobą , i na pień wygięty  
Rospiąwszy kartkę , widać że obraz malował,  
Mówiąc sam s sobą : Jakbyś umyślnie grupował,  
'Ten na głązie , ta w trawie, grupa malownicza !  
Głowy charakterowe ! s kontrastem oblicza !

Podchodził, wstrzymywał się , lornetkę przecierał,  
Oczy chustką obwiewał i coraz spozierał —  
Miałożby to cudowne, śliczne widowisko  
Zginąć albo zmienić się gdy podejść blisko ?  
'Ten aksamit traw, będzież to mak i botwinie ?  
W Nimfie tej czyż obaczę jaką ochmistrzynię ?

Choć Hrabia Telimenę już dawniej widywał  
 W domu Sędziego, w którym dosyć często bywał,  
 Lecz mało ją uważał; zadziwił się z razu  
 Rozpoznając w niej model swojego obrazu.  
 Miejsca piękność, postawy wdzięk i gust ubrania,  
 Zmieniły ją, zaledwo była do poznania.  
 W oczach świeciły jeszcze niezagasłe gniewy;  
 Twarz ożywiona wiatru świeżemi powiewy,  
 Sporem s Sędzią i nagłym przybyciem młodzieńców,  
 Nabrała mocnych, żywszych niż zwykłe rumieńców.

Pani, rzekł Hrabia, racz mej śmiałości darować,  
 Przychodzę i przeproszać i razem dziękować.  
 Przeproszać, że jej kroków śledziłem ukradkiem;  
 I dziękować, że byłem jej dumania świadkiem;  
 Tyle ją obraziłem! winienem jej tyle!  
 Przerwałem chwilę dumań: winienem ci chwile  
 Natchnienia! chwile błogie! potępinj człowieka,  
 Ale sztukmistrz twojego przebaczenia czeka!  
 Na wielem się odważył, na więcej odważę!  
 Sądź! tu ukląkł i podał swoje peizaże.

Telimena sądziła malowania próby  
 Tonem grzecznej lecz sztukę znającej osoby;  
 Skapa w pochwały lecz nieszczędziła zachętu,  
 Brawo, rzekła, winszuję, niemało talentu.  
 Tylko Pan niezaniecbuj; szczególnież potrzeba  
 Szukać pięknej natury! O szczęśliwe nieba  
 Krajów włoskich! różowe Cezarów ogrody!  
 Wy klasyczne Tyburu spadające wody!  
 I straszne Pauzylipu skaliste wydroże!  
 To Hrabió kraj malarzów! u nas żal się Boże.  
 Dziecko muz w Soplicowie oddane na mamki  
 Umrze pewnie. Mój Hrabió, oprawię to w ramki,  
 Albo w Album umieszczę do rysunków zbioru,  
 Które zewsząd skupiałam : mam ich dosyć w biurku.

Zaczęli więc rozmowę o niebios błękitach,  
 Morskich szumach, i wiatrach wonnych, i skał szczytach,  
 Mieszając tu i ówdzie, podróżnych zwyczajem,  
 Śmiech i uraganie się nad oyczystym krajem.

A przecież w około nich ciągnęły się lasy  
 Litewskie! tak poważne, i tak pełne krasy! —

Czeremchy oplatane dzikich chmielów wieńcem,  
 Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumińcem,  
 Leszczyna jak menada z zielonemi berły,  
 Ubranemi jak w grona, w orzechowc perły ;  
 A niżej dziatwa lesna : głóg w objęciu kalin,  
 Ożyna czarne usta tuląca do malin.  
 Drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce,  
 Jak do tańca stojące panny i młodzieńce,  
 W koło pary małżonków. Stoi pośród grona  
 Para, nad całą lesną gromadą wzniesiona  
 Wysmukłością kibici i barwy powabem,  
 Brzoza biała, kochanka, z małżonkiem swym grabem.  
 A dalej jakby starce na dzieci i wnuki  
 Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,  
 Tam matrony topole, i mechami brodaty  
 Dąb włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,  
 Wspiera się jak na grobów połamanych słupach,  
 Na dębów, przodków swoich skamieniałych trupach.

Pan Tadeusz kręcił się nudząc niepomafu  
 Długą rozmową, w której niemogł brać udziału ;  
 Aż gdy zaczęto sławić cudzoziemskie gaje,

I wliczać s kolei wszystkich drzew rodzaje :  
 Pomarańcze, cyprysy, oliwki, migdały,  
 Kaktusy, aloesy, mahonie, sandały,  
 Cytryny, bluszcz, orzechy włoskie, nawet figi,  
 Wysławiając ich kształty, kwiaty i łodygi,  
 Tadeusz nieprzestawał dąsać się i zżymać,  
 Nakoniec niemógł dłużej od gniewu wytrzymać.

Był on prostak, lecz umiał czuć wdzięk przyrodzenia,  
 I patrząc w las ojczysty, rzekł pełen natchnienia :  
 « Widziałem w botanicznym Wileńskim ogrodzie,  
 Owe sławione drzewa rosnące na wschodzie  
 I na południu, w owej pięknej Włoskiej ziemi;  
 Któreż równać się może z drzewami naszymi ?  
 Czy aloes z długimi jak konduktor pałki?  
 Czy cytryna karlica z złocistemi gałki ?  
 Z liściem lakierowanym krótka i pękata,  
 Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata ?  
 Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy !  
 Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy ;  
 Mówią że bardzo smutnie wygląda na grobie,  
 Jest to jak lokaj niemiec we dworskiej załobie,



Nieśmiejący rąk podnieść, ani głowy skrzywić,  
Aby się ctykciecie niczém niesprzeciwić.

Czyż niepiękniejsza nasza, poczciwa brzezina,  
Która, jako wieśniaczka kiedy płacze syna  
Lub wdowa męża, ręce załamie, rostoczy  
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy!  
Niema z żalu, postawą jak wymownie szłocha!  
Czemuż Pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,  
Nicmaluje drzew naszych pośród których siedzi?  
Prawdziwie, będą s Pana żartować sąsiedzi,  
Że mieszkając na żywej Litewskiej równinie,  
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.

Przyjacielu, rzekł Hrabia! piękne przyrodzenie  
Jest formą, tłem, materyą, a duszą natchnienie  
Które na wyobraźni unosi się skrzydłach,  
Poleruje się gustem, wspiera na prawidłach.  
Niedosć jest przyrodzenia, niedosyć zapału,  
Sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału!  
Niewszystko co jest piękne wymalować da się!  
Dowiesz się o témwszystkiem s książek w swoim czasie

Co się tycze malarstwa : do obrazu trzeba  
 Punktów widzenia, grupy, ansembli i nieba,  
 Nieba włoskiego! stąd też w kunszcie pejzażów,  
 Włochy były, są, będą, ojczyzną malarzów.  
 Stąd też oprócz Brejgela, lecz nie Van der Helle  
 Ale pejzażysty (bo są dwaj Brejgele)  
 J oprócz Ruisdalla, na całej północy  
 Gdzież był pejzażysta który pierwszej mocy?  
 Niebios, niebios potrzeba. — Nasz malarz Orłowski,  
 Przerwała Telimena, miał gust Soplicowski.  
 (Trzeba wiedzieć że to jest Sopliców choroba,  
 Że im oprócz Ojczyzny nic się niepodoba)  
 Orłowski który życie strawił w Peterburku,  
 Sławny malarz, (mam jego kilka szkiców w biórku)  
 Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju,  
 A niewierzy Hrabia jak tęsknił po kraju,  
 Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,  
 Wystawiał wszystko w Polsce: ziemię, niebo, lasy...

I miał rozum, zawołał Tadeusz z zapałem :  
 Te państwa niebo Włoskie, jak o niem słyszałem,  
 Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda ;

Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda ?  
 U nas dość głowę podnieść , ileż to widoków !  
 Ileż scen i obrazów s samej gry obłoków !  
 Bo każda chmura inna : na przykład jesienna  
 Pełźnie jak żółw' leniwa, ulewą brzemienna,  
 I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi  
 Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.  
 Chmura z gradem, jak balon szybko z wiatrem leci,  
 Krągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,  
 Szum wielki słychać w koło : nawet te codzienne ,  
 Patrzcie Państwo, te białe chmurki, jak odmiennie !  
 Z razu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,  
 A s tyłu wiatr jak sokoł do kupy je pędzi :  
 Seiskają się, grubieją, rosną, nowe dziwy !  
 Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,  
 Wysuwają nóg rzędy, i po niebios sklepie  
 Przelatują jak tabun rumaków po stepie :  
 Wszystkie białe jak srebro, zmieszają się — nagło  
 Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,  
 Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie  
 Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie !

Hrabia i Telimena poglądali w górę;  
 Tadeusz jedną ręką pokazał im chmurę,  
 A drugą ścisnął zlekka rączkę Telimeny;  
 Kilka już upłynęło minut cichej sceny;  
 Hrabia rozłożył papier na swym kapeluszu,  
 I wydobył ołówek : wtém przykry dla uszu  
 Odczwał się dzwon dworski, i zaraz śród lasu  
 Cichego, pełno było krzyku i hałasu.

Hrabia kiwnąwszy głową, rzekł poważnym tonem :  
 Tak to na świecie wszystko los zwykł kończyć dzwonem.  
 Rachunki myśli wielkiej, plany wyobrażeń,  
 Zabawki niewinności, uciechy przyjaźni,  
 Wylania się serc czułych! gdy śpiż zdala ryknie,  
 Wszystko miesza się, zrywa, mąci się i niknie!  
 Tu obróciwszy czuły wzrok ku Telimenie,  
 « Coż zostaje? » a ona mu rzekła : « wspomnienie »  
 I chcąc Hrabiego nieco ułagodzić smutek,  
 Podała mu urwany kwiatek niezabudek.  
 Hrabia go ucałował i na pierś przyspilał,  
 Tadeusz z drugiej strony krzak ziela roschylał,  
 Widząc że się ku niemu tём zielenu przewija

Coś białego, była to rączka jak lilija :  
 Pochwycił ją, całował, i usta po cichu  
 Utonął w niej jak pszczoła w lilii kielichu ;  
 Uczuł na ustach zimno ; znalazł klucz i biały  
 Papier w trąbkę zwiniony, był to listek mały ;  
 Porwał , schował w kieszenie, niewie co klucz znaczy,  
 Lecz mu to owa biała kartka wytłumaczy.

Dzwon wciąż dzwonił, i echem z głębi cichych lasów  
 Odezwało się tysiąc krzyków i hałasów ;  
 Odgłos to był szukania i nawoływania ,  
 Hasło zakończonego na dziś grzybo-brania,  
 Odgłos nie smutny wcale, ani pogrzebowy  
 Jak się Hrabiemu zdało, owszem obiadowy.  
 Dzwon ten w każde południe krzyczący s poddasza,  
 Gości i czeladź domu na obiad zaprasza :  
 Tak było w dawnych licznych dworach we zwyczajn,  
 I zostało się w domu Sędziego. Więc z gaju  
 Wychodziła gromada niosąca krobeczki ,  
 Koszyki , uwiązane końcami chusteczki,  
 Pełne grzybów; a panny w jednym ręku niosły  
 Jako wachlarz zwiniony, *borowik* rozrosły,

W drugim związane razem, jakby polne kwiatki,  
*Opieiki*, i rozlicznej barwy *Surojadki*.

Wojski miał muchomora. S próżnemi przychodzi  
 Rękami *Telimena*, z nią *Paniecze* młodzi.

Goście weszli w porządku i stanęli kołem :

Podkomorzy najwyższe brał miejsce za stołem ;

Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,

Idąc kłaniał się starcom, damom i młodzieży;

Obok stał kwestarz; Sędzia tuż przy bernardynie.

Bernardyn zmówił krótki pacierz po łacinie,

Podano w kolej wódkę, zaczem wszyscy siedli,

I chołodzice litewski, milczkiem, żwawo jedli.

Obiadowano ciszej niż się zwykle zdarza,

Nikt niegadał pomimo wezwań gospodarza.

Strony biorące udział w wielkiej o psów zwadzie

Myśliły o jutrzejszej walce i zakładzie;

Myśl wielka zwykle usta do milczenia zmusza.

*Telimena* mówiąca wciąż do *Tadeusza*,

Musiała ku *Hrabiemu* nieraz się odwrócić,

Nawet na *Assessora* nieraz okiem rzucić :

Tak ptasznik patrzy w sidło kędy szezygły zwabia  
 I razem w pastkę wróblą. Tadeusz i Hrabia  
 Obadwa radzi s siebie, obadwa szczęśliwi,  
 Oba pełni nadziei, więc negadatliwi.  
 Hrabia na kwiatek dumne opuszczał wejrzenie  
 A Tadeusz ukradkiem spozierał w kieszenie  
 Czy ów kluczyczek nieuciekł, ręką nawet chwycił  
 I kręcił kartkę której dotąd nieprzeczytał.  
 Sędzia Podkomorzemu węgryzna, szampana  
 Dolewał, służył pilnie, ściszał za kolana,  
 Ale do rozmawiania z nim nie miał ochoty  
 I widać, że czuł jakieś tajemne kłopoty.

Przemijały w milczeniu talerze i dania :  
 Przerwał nareszcie nudny tok obiadowania  
 Gość niespodziany, szybko wpadając gajowy;  
 Niezważał nawet że czas właśnie obiadowy,  
 Podbiegł do Pana; widać s postawy i z miny  
 Że ważnej, i niezwykłej jest posłem nowiny.  
 Ku niemu oczy całe zwróciło zebranie,  
 On odetchnąwszy nieco, rzekł : Niedźwiedź Mospanie!  
 Resztę wszyscy odgadli ; że zwierz z *matecznika*

Wyszedł, że w Zaniemeńską puszcze się przemyka,  
 Że go trzeba wnet ścigać, wszyscy wraz uznali,  
 Choć ani się radzili, ani namyślali —  
 Spólną myśl widzieć było z uciętych wyrazów,  
 Z gestów żywych, z wydanych rozlicznych rozkazów,  
 Które wychodząc tłumnie, razem z ust tak wielu  
 Dążyły przeciw wszystkim do jednego celu.

Na wieś! zawołał Sędzia, hej konno, setnika,  
 Jutro na brzask obława, lecz na ochotnika;  
 Kto wystąpi z osczepem, temu z robocizny  
 Wytrącić dwa szarwarki i pięć dni pańszczyzny.

Wskok, krzyknął Podkomorzy, okulińczyć siwą,  
 Dobiedz w cwał do mojego dworu; wziąć co żywo  
 Dwie pijawki, które w całej okolicy słyną,  
 Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Strapczyną;  
 Zakneblować im pyski, zawiązać je w micchu  
 I przystawić ie tutaj konno dla pośpiechu.  
 „Wańka! krzyknął na chłopca Assessor po rusku.  
 Tasak mój Sanguszkowski pociągnąć na brusku:



Wiesz, tasak co od Księcia miałem w podarunku ;  
 Pas opatrzyć, czy kula jest w każdym ładunku.  
 « Strzelby, krzyknęli wszyscy, mieć na pogotowiu.  
 Assessor wołał ciągle ołowiu, ołowiu !  
 Formę do kul nam w torbie. — Do Księdza Plebana  
 Dać znać, dodał Pan Sędzia, żeby jutro zrana  
 Mszę miał w kaplicy lesnej; króciochna offertą  
 Za myśliwych, msza zwykła świętego Huberta.

Po wydanych rozkazach nastało milczenie ;  
 Każdy dumał i rzucał do koła wejrzenie,  
 Jak gdyby kogoś szukał ; zwolna wszystkich oczy  
 Sędziwa twarz Wojskiego ciągnie i jednoczy :  
 Znak to był że szukają na przyszłą wyprawę  
 Wodza, i że Wojskiemu oddają buławę.  
 Wojski powstał, zrozumiał towarzyszków wolę,  
 I uderzywszy ręką poważnie po stole,  
 Pociągnął złocistego z zanadru łańcuszka,  
 Na którym wisiał gruby zegarek jak gruszka  
 Jutro rzekł, pół do piątej, przy lesnej kaplicy  
 Stawią się bracia strzelcy, wiara obławnicy.

Rzekł i ruszył od stołu, za nim szedł gajowy;  
Oni obmyślić mają i urządzić łowy.

Tak wodze gdy na jutro bitwę zapowiedzą,  
Żołnierze po ołozie broń czyszczą i jedzą,  
Lub na płaszcach i siodłach śpią próżni kłopotu;  
A wodze wśród cichego dumają namiotu.

Przerwał się obiad, dzień szedł na kowaniu koni,  
Karmieniu psów, zbieraniu i czyszczeniu broni,  
U wiczerzy zaledwo kto przysiadł do stoła;  
Nawet strona Kusego s partyą Sokoła,  
Przystała dawnym wielkim zatrudniać się sporem:  
Pobrawszy się pod rękę Rejent z Assessorem  
Wyszukują ołowiu. Reszta spracowana  
Szła spać wczesnie, żeby przebudzić się z rana.



**KSIĘGA CZWARTA.**



# DYPLOMATYKA

## I ŁOWY.

---

### TREŚĆ.

Zjawisko w papilotach budzi Tadeusza — Zapóźne postrzeżenie omyłki —  
Karczma — Emissaryusz — Zręczne użycie tabakierki zwraca dyskusyę  
na właściwą drogę — Matecznik — Niedźwiedź — Niebezpieczeństwo  
Tadeusza i Hrabiego — Trzy strzały — Spor Sa-  
galasówki s Sanguszkówką rozstrzygnięty na stronę  
jednorórki Horeszkowskiej — Bigos — Wojskie-  
go powieść o pojedynku Dowejki z Domej-  
ką, przerwana szczuciem kota — Ko-  
niec powieści o Dowejce i Do-  
mejce.

---

Rowienniki Litewskich wielkich kniaziów, drzewa  
Białowieży, Switezi, Ponar, Kuszelewa!  
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy  
Groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy,

I Giedymina, kiedy na Ponarskiej górze  
 Przy ognisku myśliwskim, na niedźwiedziej skórce  
 Leżał, słuchając pieśni mądrego Lizdejki,  
 A Wilii widokiem i szumem Wilejki  
 Ukołysany marzył o wilku żelaznym ;  
 I zbudzony, za bogów rozkazem wyraźnym  
 Zbudował miasto Wilno, które w lasach siedzi,  
 Jak wilk pośrodku żubrów, dzików i niedźwiedzi.  
 S tego to miasta Wilna, jak z Rzymskiej wilczyicy  
 Wyszedł Kiejstut i Olgierd i Olgierdowicy,  
 Równie myśliwi wiecy jak sławni rycerze,  
 Czyli wroga ścigali , czyli dzikie zwierze.  
 Sen myśliwski nam odkrył tajnie przyszłych czasów,  
 Że Litwie trzeba zawsze żelaza i lasów.

Knieje! do was ostatni przyjeżdżał na łowy  
 Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy,  
 Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy,  
 I ostatni na Litwie monarcha myśliwy.  
 Drzewa moje ojezyste! jeśli niebo zdarzy  
 Bym was oglądał znowu przyjaciele starzy,  
 Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?

Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecko ;  
 Czy żyje wielki Baublis, w którego ogromie  
 Wiekami wydrążonym jakby w dobrym domie ,  
 Dwónastu ludzi mogło wieczerzać za stołem ?  
 Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem ?  
 I tam na Ukrainie , czy się dotąd wznosi  
 Przed Hołowińskich domem , nad brzegami Rosi,  
 Lipa tak rozrośniona, że pod jej cieniami  
 Sto młodzieńców , sto panien szło w taniec parami ?

Pomniki nasze ! ileż co rok was pożera  
 Kupiecka , lub rządowa , moskiewska siekiera !  
 Nie zostawia przytułku, ni leśnym śpiewakom ,  
 Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły jak ptakom.  
 Wszak lipa Czarnolaska, na głos Jana czuła,  
 Tyle rymów natchnęła ! wszak ów dąb gaduła,  
 Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa !

Ja ileż wam winienem o domowe drzewa !  
 Błahy strzelec uchodząc szyderstw towarzyszy,  
 Za chybioną zwierzynę, ileż w waszej ciszy  
 Upolowałem dumań , gdy w dzikim ostępie

Zapomniawszy o łowach usiadłem na kępie,  
 A kość mnie srebrzył się, tu mech siwobrody.  
 Złany granatem czarnej, zgniecionej jagody,  
 A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,  
 Strojnie w brusznice, jakby w koralów paciorki —  
 W około była ciemność; gałęzie u góry  
 Wisiały jak zielone, gęste, niskie chmury,  
 Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomy,  
 Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem :  
 Dziwny, odurzający hałas! mnie się zdało  
 Że tam nad głową morze wiszące szalało.

Na dole jak ruiny miast : tu wywrot dębu  
 Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu,  
 Na nim oparte jak ścian i kolumn obłamy,  
 Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,  
 Ogrodzone parkanem traw : w środek tarasu  
 Zajrzeć straszno, tam siedzą gospodarze lasu,  
 Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości  
 Na pół zgryzione, jakichś nieostróżnych gości.  
 Czasem wymkną się w górę przez trawy zielenie  
 Jakby dwa wódotryski, dwa rogięcienie,



I mignie między drzewa żwierz żółtawym pasem,  
 Jak promień kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem.

I znowu cichość w dole. Dzieciół na jedlinie,  
 Stuka z lekka i dalej odlatuje, ginie,  
 Schował się, ale dziobem nieprzestaje pukać,  
 Jak dziecko gdy schowane, woła by go szukać.  
 Bliżej siedzi wiewiórka, orzech w łapkach trzyma.  
 Gryzie go; zawiesiła kitkę nad oczyma,  
 Jak pióro nad szyszakiem u kirasyera;  
 Chociaż tak osłoniła, do koła spoziera,  
 Dostrzegłszy gościa skacze gajów tancznicą,  
 Z drzew na drzewa, miga się jako błyskawica;  
 Nakoniec w niewidzialny otwor pnia przepada,  
 Jak wracająca w drzewo rodzime Driada.  
 Znowu cicho.

W tém gałąź wstrzęsła się trącona,  
 I pomiędzy jarzębin rozsunięte grona,  
 Krańsze od jarzębin zajaśniały lica,  
 To jagod lub orzechów zbieraczka dziewica;  
 W krobeczce s prostej kory, podaje zebrane

Bruśnice świeże, jako jej usta rumiane ;  
 Obok młodziencic idzie, leszczynę nagina,  
 Chwyta w lot migające orzechy dziewczyna.

W tém usłyszeli odgłos rogów i psów granie,  
 Zgadują że się ku nim zbliża polowanie,  
 J pomiędzy gałęzi gęstwę, pełni trwogi  
 Zniknęli nagle z oczu, jako lesne bogi.

W Soplicowie ruch wielki : lecz ni psów hałasy,  
 Ani rżące rumaki, skrzypiące kolasy,  
 Ni odgłos trąb dających hasło polowania,  
 Nie mogły Tadeusza wyciągnąć s posłania;  
 Ubrany padłszy w łóżko, spał jak bobak w norze.  
 Nikt z młodzieży niemyslił szukać go po dworze,  
 Każdy sobą zajęty, śpieszył gdzie kazano :  
 O towarzyszu sennym całkiem zapomniano.

On chrapał : słońce w otwór, co śród okienicy  
 Wyrznięty był w kształt serca, wpadło do ciemnicy  
 Słupem ognistym, prosto sennemu na czoło ;  
 On jeszcze chciał zadrzemać i kręcił się w koło

Chroniąc się blasku, nagle usłyszał stuknienie,  
 Przebudził się ; wesołe było przebudzenie.  
 Czuł się rzeczowym jak ptaszek , z lekkością oddychał ,  
 Czuł się szczęśliwym , sam się do siebie uśmiechał :  
 Myśląc o wszystkiém co mu wczora się zdarzyło,  
 Rumienił się , i wzdychał , i serce mu biło.

Spojrzał w okno, o dziwy! w promieci przezroczu,  
 W owém sercu, błyszcząco dwoje jasnych oczu ,  
 Szeroko otworzonych, jak zwykle wejrzenie  
 Kiedy z jasności dziennej przedziera się w cienie;  
 Ujrzał i małą rączkę, niby wachlarz z boku  
 Nadstawioną ku słońcu dla ochrony wzroku,  
 Palce drobne zwrócone na światło różowe,  
 Czerwieniły się na wskrós jakby rubinowe ;  
 Usta widział ciekawe, rostulone nieco,  
 I ząbki, co jak perły śród koralów świecą,  
 I lica, choć od słońca zasłaniane dłońią  
 Różową, same całe jak róże się płońią.

Tadeusz spał pod oknem ; sam ukryty w cieniu  
 Leżąc nawznak cudnemu dziwił się zjawieniu ,

I miał je tuż nad sobą, ledwie nie na twarzy,  
 Nie wiedział czy to jawa, czyli mu się marzy  
 Jedna s tych miłych, jasnych twarzyczek dziecińczych,  
 Które pomnim widziane we śnie lat niewinnych.  
 Twarzyczka schyliła się — ujrzał, drżąc z bojaźni  
 I radości, niestety! ujrzał najwyraźniej,  
 Przypomniał, poznał włos ów krótki, jasnozłoty,  
 W drobne, jako śnieg białe, zwity papiloty,  
 Niby srebrzyste strączki, co od słońca blasku  
 Świeciły się jak korona na świętych obrasku.

Zerwał się; i widzenie zaraz uleciało  
 Przestraszone łoskotem; czekał, niewracało!  
 Tylko usłyszał znowu trzykrotne stukanie  
 I słowa: « Niech Pan wstaje, czas na polowanie.  
 Pan zasnął. • Skoczył z łóżka i obu rękami  
 Pchnął okienicę, że aż trzasła zawiasami  
 I rozwarłszy się w obie uderzyła sciany;  
 Wyskoczył, patrzył w koło, zdumiony, zmieszany.  
 Nic niewidział, nie dostrzegł niczyjogo śladu:  
 Niedaleko od okna był parkan od sadu,  
 Na nim chmielowe liście i kwicciście wieńce

Chwiały się ; czy je lekkie potraciły ręce ?  
 Czy wiatr ruszył ? Tadeusz długo patrzył na nie ,  
 Nieśmiały iść w ogród : tylko wsparł się na parkanie ,  
 Oczy podniósł , i s palcem do ust przyciśnionym  
 Kazał sam sobie milczeć , by słowem kwapionem  
 Nie rozerwał myślenia ; potem w czoło stuknął ,  
 Niby do wspomnień dawnych uspionych w niem pukał ,  
 Nakoniec gryząc palce do krwi się zadrasnął ,  
 I na cały głos — dobrze , dobrze mi tak ! — wrzasnął .

We dworze , gdzie przed chwilą tyle było krzyku ,  
 Teraz pusto i głucho , jak na mogilniku :  
 Wszyscy ruszyli w pole ; Tadeusz nadstawił  
 Uszu , i ręce do nich jak trąbki przyprawił ,  
 Słuchał , aż mu wiatr przyniósł wicjający od puszczy ,  
 Odgłosy trąb i wrzaski polującej tłuszczy .

Koń Tadeusza w stajni czekał osiodłany ,  
 Wziął więc flintę , skoczył nań , i jak opętany  
 Pędził ku karczmom które stały przy kaplicy ,  
 Kiedy mieli się rankiem zebrać obławnicy .

Dwie chyliły się karczmy po dwóch stronach drogi,  
 Oknami wzajem sobie grożące jak wrogi;  
 Stara należy s prawa do zamku dziedzica,  
 Nową na złość zamkowi postawił Soplica.  
 W tamtej, jak w swém dziedzictwie rej wodził Gerwazy,  
 W tej najwyższe za stołcem brał miejsce Protazy.

Nowa karczma niebyła ciekawa s pozoru.  
 Stara wedle dawnego zbudowana wzoru,  
 Który był wymyślony od Tyryjskich cieśli,  
 A potem go żydowie po świecie roznieśli:  
 Rodzaj architektury, obcym budowniczym  
 Wcale nieznanym; my go od żydów dziedziczym.

Karczma s przodu jak korab', s tyłu jak świątynia:  
 Korab', istna Noego czworogranna skrzynia,  
 Znany dziś pod prostackim nazwiskiem stodoły;  
 Tam różne są zwierzęta, konie, krowy, woły,  
 Kozy brodate; w górze zaś ptastwa gromady,  
 I płazów choć po parze, są też i owady.  
 Część tylnia nakształt dziwnej świątyni stawiona  
 Przypomina s pozoru ów gmach Salomona,

Który pierwsi ćwiczeni w budowań rzemieście  
 Hiramscy na Syonie wystawili cieście.  
 Żydzi go naśladują dotąd we swych szkołach,  
 A szkoł rysunek widny w karczmach i stodołach.  
 Dach z dranic i ze słomy, śpiczasty, zadarty,  
 Pogięty jako kołpak żydowski podarty.  
 Ze szczytu wytryskują krużganku krawędzie,  
 Oparte na drewnianym licznych kolumn rzędzie;  
 Kolumny, co jest wielkie architektów dziwo,  
 Trwałe, chociaż w pół zgniłe, i stawione krzywo  
 Jako w wieży Pizańskiej, nie podług modelów  
 Greckich, bo są bez podstaw i bez kapitelów.  
 Nad kolumnami biegą półokrągłe łuki,  
 Także z drzewa, gotyckiej naśladowstwo sztuki.  
 Z wierzchu ozdoby sztuczne, nie rylcem, nie dłóttem,  
 Ale zręcznie ciesielskim wyrzezane skłutem,  
 Krzywe jak szabasowych ramiona świeczników;  
 Na końcu wiszą gałki, coś nakszaft guzików,  
 Które żydzi modląc się na łbach zawieszają,  
 I które po swojemu, cyccs nazywają.  
 Słowem zdaleka karczma chwiejąca się, krzywa,  
 Podobna jest do żyda, gdy się modląc kiwa;

Dach jak czapka, jak broda strzecha rostrzęsniona,  
 Ściany dymne i brudne jak czarna opona,  
 A s przodu rzeźba sterczy jak cyces na czole.

W środku karczny jest podział jak w żydowskiéj szkole,  
 Jedna część pełna izbic ciasnych i podłużnych,  
 Służy dla dam wyłącznie i panów podróźnych;  
 W drugiej ogromna sala. Koło każdej ściany  
 Ciągnie się wielonożny stół wąski drewniany,  
 Przy nim stołki choć niższe, podobne do stoła,  
 Jako dzieci do ojca.

#### Na stołkach do koła

Siedziały chłopy, chłopki, tudzież szlachta drobna,  
 Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.  
 Po rannéj mszy s kaplicy, że była niedziela,  
 Zabawić się i wypić przyszedli do Jankiela.  
 Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,  
 Po nad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.  
 W środku arędarz Jankiel, w długim aż do ziemi  
 Szarofanie zapiętym hałtkami srebrnemi,  
 Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,



Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził ;  
 Rzucając w koło okiem rozkazy wydawał ,  
 Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał  
 Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,  
 Lecz nie służył nikomu ; tylko się przechadzał.  
 Żyd stary i powszechnie znany s poczciwości ,  
 Od lat wielu dzierzawił karcznię , a nikt z włości  
 Nikt ze szlachty niezaniósł nań skargi do dworu ;  
 O cóż skarżyć ? miał trunki dobre do wyboru ,  
 Rachował się ostrożnie lecz bez oszukaństwa ,  
 Ochoty niezabraniał , nie cierpiał pijaństwa :  
 Zabaw wielki miłośnik ; u niego wesele  
 I chrzciny obchodzono ; on w każdą niedzielę  
 Kazał do siebie ze wsi przychodzić muzyce ,  
 Przy której i basetla była i kozice .

Muzykę znał , sam sływał muzycznym talentem ;  
 S cymbałami , narodu swego instrumentem ,  
 Chadzał niegdyś po dworach i graniem zdumiewał  
 I pieśniami , bo biegle i uczenie śpiewał .  
 Chociaż żyd dosyć czystą miał polską wymowę ,  
 Szczególniej zaś polubił pieśni narodowe ;

Przywoził mnóstwo s każdej za Niemen wyprawy,  
 Kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy;  
 Wieść, niewiem czyli pewna, w całej okolicy  
 Głosiła, że on pierwszy przywoził z zagranicy  
 I upowszechnił wówczas, w tamiecznym powiecie,  
 Ową piosenkę, sławną dziś na całym świecie,  
 A którą po raz pierwszy na ziemi Auzonow  
 Wygrały Włochom polskie trąby legionów.  
 Talent spiewania bardzo na Litwie popłaca,  
 Jedna miłość u ludzi, wsławia i wzbogaca :  
 Jankiel zrobił majątek ; syt zysków i chwały  
 Zawiesił dźwięcznostronne na scianie cymbały ;  
 Osiadłszy z dziećmi w karczmie, zatrudniał się szynkiem,  
 Przy tém w pobliskim mieście był też podrabinkiem,  
 A zawsze miłym wszędzie gościem , i domowym  
 Doradcą; znał się dobrze na handlu zbożowym ,  
 Na wicinnym : potrzebna jest znajomość taka  
 Na wsi. — Miał także sławę dobrego Polaka.

On pierwszy zgodził kłótnie często nawet krwawe  
 Między dwiema karczmami , obie wziął w dzierżawę ;  
 Szanowali go równie i starzy stronnicy

Horeszkowscy i sędziy sędziego Soplicy.  
 On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym  
 Klucznikiem Horeszkowskim i kłotliwym Woźnym ;  
 Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy,  
 Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.

Gerwazego niebyło; ruszył na obławę,  
 Niechcąc aby tak ważną i trudną wyprawę  
 Odbił sam Hrabia, młody i niedoświadczony ;  
 Poszedł więc z nim dla rady, tudzież dla obrony.

Dziś miejsce Gerwazego najdalej od progą,  
 Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,  
 Zwane *pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował ;  
 Jankiel go tam posadził; widać że szanował  
 Wysoko Bernardyna, bo skoro dostrzegwał  
 Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał  
 I roskażał dolewać lipcowego miodu.  
 Słychać, że z Bernardynem znali się za młodu  
 Kędyś tam w cudzych krajach. Robak często chadzał  
 Nocą do karczmy, tajnie z żydem się naradzał  
 O ważnych rzeczach ; słychać było że towary

Książd przemycał, lecz potwarz ta niegodna wiary.

Robak wsparty na stole, w półgłoso rosprowiał,  
 Tym szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,  
 I nosy ku księdzowskiej chylił tabakierze;  
 Brano z niej, i kichała szlachta jak móżdzerce.

« Rewerendissime, rzekł kichnąwszy Skołuba,  
 To mi tabaka, co to idzie aż do czuba;  
 Od czasu jak nos dźwigam (tu głośnął nos długi)  
 Takiej niezazywałem (tu kichnął raz drugi)  
 Prawdziwa Bernardynka, pewnie s Kowna rodem,  
 Miasta sławnego w świecie tabaką i miodem.  
 Byłem tam lat już — Robak przerwał mu « na zdrowie  
 Wszystkim Waszmościom, moi Mościwi Panowie;  
 Co się tabaki tyczy, hem, ona pochodzi  
 Z dalszej strony niż myśli Skołuba Dobrodziej;  
 Pochodzi z Jasnej Góry; Xiężą Paulinowie  
 Tabakę taką robią w mieście Częstochowie,  
 Kędy jest obraz tylu cudami wsławiony,  
 Bogarodzicy Panny, Królowej korony  
 Polskiej; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!

Koronę jeszcze dotąd piastuje królewska,  
 Lecz na Litewskim Księstwie teraz szyma siedzi! »  
 — S Częstochowy? rzekł Wilbik, byłera tam wspaniedzi,  
 Kiedym na odpust chodził lat temu trzydzieście;  
 Czy to prawda że Francuz gości teraz w mieście,  
 Że chce kościół rozwalać, i skarbiec zabierze,  
 Bo to wszystko w Litewskim stoi Kurierze?  
 — Nieprawda rzekł Bernardyn, nie, Pan Najjaśniejszy  
 Napoleon katolik jest najprzykładańszy;  
 Wszak go papież namaścił, żyją s sobą w zgodzie  
 I nawracają ludzi w francuskim narodzie,  
 Który się trochę popsuł; prawda s Częstochowy  
 Oddano wiele srebra na skarb narodowy  
 Dla Ojczyzny, dla Polski, sam Pan Bóg tak także,  
 Skarbcem Ojczyzny zawsze są jego ołtarze;  
 Wszakże w Warszawskim Księstwie mamy sto tysięcy  
 Wojska polskiego, może wkrótce będzie więcej,  
 A któż wojsko opłaci? czy nie wy Litwini,  
 Wy tylko grosz dajecie do Moskiewskiej skrzyni.  
 — Kat by dał, krzyknął Wilbik, gwałtem od nas biorą.  
 — Oj dobrodzieju, chłopek ozwał się s pokorą,  
 Pokłoniwszy się księdzu i skrobiąc się w głowę,

Już to szlachcie, to jeszcze bieda przez połowę,  
 Lecz nas drą jak na łyka — Cham, Skołuba krzyknął,  
 Głupi, tobieć to lepiej, tyś chłopie przywyknął  
 Jak węgórz do odarcia; lecz nam *urodzonym*,  
 Nam wielmożnym, do złotych swobód *wzyczajonym!*  
 Ach bracia! wszak to dawniej szlachcie na zagrodzie!  
 — (Tak, tak, krzyknęli wszyscy: równy wojewodzie!)  
 Dziś nam szlachectwa przeczą, każą nam drabować  
 Papiery, i szlachectwa papierem probować.  
 — Jeszcze Waszeci mniejsza, zawołał Juraha,  
 Waszcę s pradziadów chłopów uszlacheony szlaha,  
 Ale ja, s kniaziów! pytać u mnie o patenta,  
 Kiedym został szlacheicem? sam Bóg to pamięta!  
 Niechaj Moskal w las idzie pytać się dębiny  
 Kto jej dał patent rosnać nad wszystkie krzewiny.  
 — Kniazziu, rzekł Żagiel, świeć Waśc baki lada komu,  
 Tu znajdziesz pono mitry i w niejednym domu.  
 — Waśc makrzyż w herbie, wołał Podhajski, to skryta  
 Aluzya, że w rodzie bywał neofita.  
 — Fałsz, przerwał Birbarz, przecież ja s tatarskich Hrabiów  
 Pochodzę, a mam krzyże nad herbem korabiów.  
 — Poraj, krzyknął Mickiewicz, z mitrą w polu złotem,

Herb Książęcy, Strykowski gęsto pisze o tém.

Za czém wielkie powstały w całej karczmie szmery;  
 Ksiądz Bernardyn uciekł się do swej tabakiery,  
 W kolej częstował mównic, gwar zaraz ucichnął,  
 Każdy zażył przez grzeczność i kilkakroć kichnął;  
 Bernardyn korzystając s przerwy, mówił dalej :  
 — Oj wieley ludzie od tej tabaki kichali !  
 Czy uwierzycie Państwo, że s tej tabakiery,  
 Pan jenerał Dąbrowski zażył razy cztery ?  
 — Dąbrowski ? zawołali — Tak , tak , on jenerał ;  
 Byłem w obozie gdy on Gdańsk Niemcom odbierał ,  
 Miał coś pisać , bojąc się ażeby nie zasnął ,  
 Zażył , kichnął , dwakroć mię po ramieniu klasnął ;  
 Książę Robaku mówił , Książę Bernardynie ,  
 Obaczyny się w Litwie może nim rok minie ,  
 Powiedz Liwinom niech mnie czekają s tabaką  
 Częstochowską , niebiorę innej tylko taką .

Mowa Księdza wzbudziła takie zadziwienie,  
 Taką radość, że całe huczne zgromadzenie  
 Milczało chwilę; potem napół ciche słowa

Powtarzano : tabaka s Polski ? Czestochowa ?  
 Dabrowski ? z ziemi włoskiej ? az nakoniec razem,  
 Jakby myśl z myślą , wyraz sam zbiegl sie z wyrazem ,  
 Wszyscy jednoglosnie jak na dane haslo  
 Krzyknęli : Dabrowskiego ! wszystko razem wrzaslo ,  
 Wszystko sie ucisnelo : chlop s tatarskim Hrabia ,  
 Mitra s Krzyzem , Poraje z Gryfem i s Korabia ;  
 Zapomnieli wszystkiego , nawet Bernardyna ,  
 Tylko spiewali krzyczac : wodki , miodu , wina !

Dlugo sie przysluchiwal Ksiadz Robak piosence ,  
 Nakoniec chcial ja przerwac ; wziel w obiedwie rece  
 Tabakierke , kichaniem melodye zmieszal ,  
 I nim sie nastroili , tak mowic pospieszal :  
 Chwalicie mna tabake Mości Dobrodzieje ,  
 Obaczciez co sie wewnatrz tabakierki dzieje .  
 Tu wycierajac chustka zabrudzone denko ,  
 Pokazal malowaną armia malenka  
 Jak roj much ; w srodku jeden czlowiek na rumaku ,  
 Wielki jako chrzescz siedzial , pewnie wodz orszaku ;  
 Spinal konia jak gdyby chcial skakac w niebiosa ,  
 Jedna reke na euglach , druga mial u nosa :



Przypatrzcie się, rzekł Robak, tej groźnej postawie,  
 Zgadnijcie czyja? — Wszyscy patrzyli ciekawie, —  
 Wielki to człowiek, cesarz, ale nie Moskali,  
 Ich Carowie tabaki nigdy niebierali.  
 — Wielki człowiek, zawołał Cydzik, a w kapocie?  
 Ja myślałem że wieley ludzie chodzą w złocie,  
 Bo u Moskalów lada generał Mospanie,  
 To tak świeci się w złocie, jak szczupak w szafranie;  
 — Ba, przerwał Rymnsza; przecież widziałem za młodu  
 Kościuszkę, naczelnika naszego narodu:  
 Wielki człowiek! a chodził w krakowskiej sukmanie,  
 To jest czamarce; — w jakiej czamarce, Mospanie?  
 Odparł Wilbik, to przecież zwano taratatką;  
 — Ale tamta s fręzlami, ta jest całkiem gładką,  
 Krzyknął Mickiewicz; — za tém wszczynały się swary  
 O różnych taratunki kształtach i czamary.

Przemysłny Robak widząc, że się tak rospryska  
 Rozmowa, jął ją znowu zbierać do ogniska,  
 Do swojej tabakiery; częstował, kichali,  
 Życzyli sobie zdrowia, on rzecz ciągnął dalej:  
 — Gdy Cesarz Napoleon w potyczce zażywa

Raz po raz, to znak pewny że bitwę wygrywa :  
 Na przykład pod Austerlic ; Francuzi tak stali  
 Z armatami , a na nich biegła ćma Moskali ;  
 Cesarz patrzył i milczał ; co Francuzi strzelą,  
 To Moskale półkami jak trawa się ścielą.  
 Półk za półkiem cwałował i spadał s kulbaki ;  
 Co półk spadnie , to Cesarz zażyje tabaki ;  
 Aż w końcu Alexander ze swoim braciszkiem  
 Konstantym , i z niemieckim cesarzem Franciszkiem,  
 W nogi s pola ; więc Cesarz widząc że po walce ,  
 Spojrzał na nich , zaśmiał się i otrząsnął palce.  
 Otoż jeśli kto s Panów coście tu przypomni  
 Będzie w wojsku Cesarza, niech to sobie wspomni.

Ach ! zawołał Skołuba, mój księżę kwestarzu !  
 Kiedyż to będzie ! wszak to ile w kalendarzu  
 Jest świąt , na każde święto Francuzów nam wróżą,  
 Wygląda człek , wygląda , aż się oczy mróżą ,  
 A Moskal jak nas trzymał , tak trzyma za szyję ,  
 Pono nim słońce wnidzie , rosa oczy wyjje.

Mospanie, rzekł Bernardyn, babska rzecz narzekać ,

A żydowska rzecz ręce założywszy czekać  
 Nim kto w karczmę zajedzie i do drzwi zapuka;  
 Z Napoleonem pobić Moskalów nie sztuka.  
 Już ci on Szwabom skórę trzy razy wyniósł,  
 Brzydkie Prusactwo zdeptał, Anglików wyrzucił  
 Het za morze, Moskałom zapewne wygodzi;  
 Ale co stąd wyniknie, wiec Asan Dobrodziej?  
 Oto szlachta Litewska wtenczas na koń wsiędzie  
 I szable weźmie, kiedy bić się s kim nie będzie;  
 Napoleon sam wszystkich pobiwszy, nareszeic  
 Powie, obejdę się ja bez was, kto jesteście?  
 Więc nie dość gościa czekać, nie dość i zaprosić,  
 Trzeba czeladkę zebrać i stoły pownosić,  
 A przed ucztą potrzeba dom oczyścić s śmieci,  
 Oczyścić dom powtarzam, oczyścić dom, dzieci!  
 Nastąpiło milczenie, potem głosy w tłumie:  
 Jakże to dom oczyścić, jakto ksiądz rozumie?  
 Już ci my wszystko zrobim, na wszystko gotowi,  
 Tylko niech Ksiądz Dobrodziej, jaśniej się wysłowi.

Ksiądz poglądał za okno, przerwawszy rozmowę,  
 Ujrzał coś ciekawego, z okna wytknął głowę,

Po chwili rzekł powstając : dziś czasu niemamy ,  
 Potem o tém obszerniej s sobą pogadamy ;  
 Jutro będę dla sprawy w powiatowém mieście  
 J do Waszmościów z drogi zajadę po kweście .

Niech też do Niehrymowa Ksiądz na nocleg zdąży ,  
 Rzekł Ekonom, rad będzie Księdzu Pan Chorąży ;  
 Wszakże na Litwie stare powiada przysłowie :  
 Szczęśliwy człowiek , jako kwestarz w Niehrymowie!  
 I do nas rzekł Zubkowski , wstąp jeżeli łaska ,  
 Znajdzie się tam półsztuczek płutna, masła łaska ,  
 Baran lub krówka , wspomnij księżę na te słowa :  
 Szczęśliwy człowiek , trafił , jak ksiądz do Zubkowa .  
 I do nas rzekł Skołuba , do nas Terajewicz ,  
 Zaden Bernardyn głodny nie wyszedł s Pucewicz .  
 Tak cała szlachta prośbą i obietnicami  
 Przeprowadzała Księdza ; on już był za drzwiami .

On już pierwiej przez okno ujrział Tadeusza  
 Który leciał gościńcem , w cwał , bez kapelusza ,  
 Z głową schyloną , bladém , posępném obliczem ,  
 A konia ustawicznie bodł i kropił biczem .

Ten widok bardzo Księdza Bernardyna zmieszał,  
 Więc za młodzieńcem kroki szybkimi pośpieszał  
 Do wielkiej puszczy, która jako oko sięga  
 Czerniła się na całym brzegu widnokręga.

Któż zbadał puszczy litewskich przepastne krainy,  
 Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?  
 Rybak ledwie u brzegów nawiedza dno morza;  
 Myśliwiec krąży koło puszczy litewskich łoża,  
 Zna je ledwie po wierzchu, ich postać, ich lice,  
 Lecz obce mu ich wewnętrzne serca tajemnice:  
 Wieść tylko albo bajka wie co się w nich dzieje.  
 Bo gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje,  
 Trafisz w głębi na wielki wał pniów, kłód, korzeni,  
 Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni  
 I siecią zielsk zarosłych, i kopcami mrowisk,  
 Gniazdami os, szerszeniów, kłębami wężowisk.  
 Gdybyś i te zapory zmógł nadludzkiem mężstwem,  
 Dalej spotkać się z większym masz niebezpieczeństwem;  
 Dalej co krok czychają, niby wilcze doły,  
 Małe jeziora, trawą zarosłe na poły,  
 Tak głębokie że ludzie dna ich niedośledzą,

(Wielkie jest podobieństwo że djabły tam siedzą)  
 Woda tych studni skłni się, plamista rdzą krwawą,  
 A z wnętrza ciągle dymi zionąc woń plugawą,  
 Od której drzewa w koło tracą liść i korę;  
 Łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore,  
 Pochyliwszy konary mchem kołtuowate,  
 I pnie garbiąc brzydkimi grzybami brodate,  
 Siedzą wkoło wody, jak czarownice kupa  
 Grzejąca się nad kotłem w którym warzą trupa.

Za temi jeziorkami już nie tylko krokiem,  
 Ale daremnie nawet zapuszczać się okiem;  
 Bo tam już wszystko mglistym zakryte obłokiem,  
 Co się wiecznie ze trzęskich oparzelisk wznosi.  
 A za tą mgłą nakoniec (jak wieść gminna głosi)  
 Ciągnie się bardzo piękna, żyzna okolica,  
 Główna królestwa zwierząt i roślin stolica.  
 W niej są złożone wszystkich drzew i ziół nasiona,  
 S których się rozrastają na świat ich plemiona;  
 W niej jak w arce Noego, s wszelkich zwierząt rodu  
 Jedna przynajmniej para chowa się dla płodu.  
 W samym środku (jak słyhać) mają swoje dwory,

Dawny Tur, Żubr i Niedźwiedź, puszczy imperatory.  
 Około nich na drzewach gniczdzi się Rys bystry,  
 I żarłoczny Rosomak, jak czujne ministry;  
 Dalej zaś jak podwładni szlachetni wassale,  
 Mieszkają Dziki, Wilki i Łosie rogale.  
 Nad głowami Sokoły i Orłowie dzicy,  
 Żyjący s pańskich stołów, dworsecy zauszniczy.  
 Te pary zwierząt głowne i patryarchalne,  
 Ukryte w jądrze puszczy, światu niewidzialne,  
 Dzieci swe ślą dla osad za granicę lasu,  
 A sami we stolicy używają wczasu;  
 Nie giną nigdy bronią sieczną ani palną,  
 Lecz starzy umierają śmiercią naturalną.  
 Mają też i swój smętarz, kędy bliscy śmierci,  
 Ptaki składają pióra, czworonogi sierci.  
 Niedźwiedź gdy zjadłszy zęby strawy nieprzeżuwa,  
 Jeleń zgrzybiały gdy już ledwie nogi suwa,  
 Zajac sędziwy gdy mu już krew w żyłach krzepnie,  
 Kruk gdy już posiwieje, sokoł gdy osłepnie,  
 Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi  
 Ze zamknięty na wieki już gardła nie żywi,  
 Idą na smętarz. Nawet mniejszy zwierz raniony

Lub chory, bieży umrzeć w swe ojczyste strony.  
 Stądto w miejscach dostępnych kędy człowiek gości,  
 Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.  
 Słychać że tam w stolicy, między zwierzętami  
 Dobrze są obyczajc, bo rządzą się sami;  
 Jeszcze cywilizacją ludzką niepopsuci,  
 Nieznają praw własności która świat nasz kłóci,  
 Nie znają pojedynków, ni wojennej sztuki.  
 Jak ojce żyły w raju, tak dziś żyją wnuki,  
 Dzikie i swojskie razem w miłości i zgodzie,  
 Nigdy jeden drugiego nie kąsa, ni bodzie.  
 Nawet gdyby tam człowiek wpadł chociaż niezbrojny,  
 Toby środkiem bestyi przechodził spokojny;  
 Onehy nań patrzyły tym wzrokiem zdziwienia,  
 Jakim w owym ostatnim szóstym dniu stworzenia  
 Ojce ich pierwsze co się w ogrójcu gnieździły,  
 Patrzyły na Adama nim się z nim skłóciły.  
 Szczęściem człowiek nie zbłądzi do tego ostępu,  
 Bo Trud i Trwoga i Śmierć bronią mu przystępu.

Czasem tylko w pogoni zaciekle ogary,  
 Wpadłszy niebacznie między bagna, melhy i jary,



Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,  
 Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem ;  
 I długo potem ręką pana już głaskane,  
 Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.  
 Te puszczy stołeczne, ludziom nieznane tajniki,  
 W języku swoim strzelcy zowią : *Mateczniki*.

Głupi niedźwiedziu! gdybyś w Mateczniku siedział,  
 Nigdyby się o tobie Wojski niedowiedział;  
 Ale czyli pasieki zwabiła cię wonność,  
 Czy uczułeś do owsa dojrzałego skłonność;  
 Wyszedłeś na brzeg puszczy gdzie się las przeczodził,  
 I tam zaraz leśniczy bytność twą wyszedził,  
 I zaraz obsaczniki, chytre nasłwał szpiegi,  
 By poznać gdzie popasasz i gdzie masz noclegi;  
 Teraz Wojski z obławą, już od matecznika  
 Postawiwszy szeregi odwrót ci zamyka.

Tadeusz się dowiedział, że niemało czasu  
 Już przeszło, jak ogary wpadły w otchłań lasu.

Cicho; — próżno myśliwi natężają ucha;

Próžno, jak najciekawszej mowy, każdy słucho  
 Milczenia, długo w miejscu nieruchomy czeka;  
 Tylko muzyka puszczy gra do nich zdaleka.  
 Psy nurtują po puszczy jak pod morzem nurki,  
 A strzelcy obróciwszy do lasu dwórurki,  
 Patrzą Wojskiego: ukląkł, ziemię uchem pyta:  
 Jako w twarzy lekarza wzrok przyjacioł czyta  
 Wyrok życia lub zgonu miłej im osohy,  
 Tak strzelcy ufni w sztuki Wojskiego sposoby  
 Topili w nim spójrzenia nadziei i trwogi.  
 • Jest! jest! wyrzekł półgłosem, zerwał się na nogi.  
 On słyszał! oni jeszcze słuchali — nareszcie,  
 Słyszą, jeden pies wrzasnął, potem dwa, dwadzieście,  
 Wszystkie razem ogary rozpierzchnioną zgrają  
 Doławiają się, wrzeszczą, wpadli na trop, grają,  
 Ujadają: już nie jest to powolne granie  
 Psów goniących zająca, lisa albo łanie;  
 Lecz wciąż, wrzask krótki, częsty, ucinany, zjadły;  
 To nie na ślad daleki ogary napadły,  
 Na oko gonią — nagle ustał krzyk pogoni,  
 Doszli zwierza — wrzask znowu, skowyt, — zwierz się broni  
 I zapewne kaleczy, wśród ogarów grania

Słychać co raz to częściej jęk psiego konania.

Strzelec stali, i każdy ze strzelbą gotową  
 Wygiął się jak łuk na przód s wciśnioną w las głową,  
 Niemogą dłużej czekać! już ze stanowiska  
 Jeden za drugim zmyka i w puszcę się wciska,  
 Chcą pierwsi spotkać zwierza: choć Wojski ostrzegał,  
 Choć Wojski stanowiska na koniu obiegał,  
 Krzycząc, że czy kto prostym chłopem czy paniczem,  
 Jeżeli z miejsca zejdzie dostanie w grzbiet smyczem.  
 Nie było rady! wszyscy pomimo zakazu  
 W las pobiegli, trzy strzelby huknęły od razu,  
 Potem wciąż kanonada, aż głośniejszą nad strzały  
 Ryknął niedźwiedź i echem napełnił las cały.  
 Ryk okropny! boleści, wściekłości, rozpacz;  
 Zanim wrzask psów, krzyk strzelców, trąby dojeżdżaczy  
 Grzmiały ze środka puszczy; strzelec ci w las śpieszą,  
 Tamci korki odwodzą a wszyscy się cieszą;  
 Jeden Wojski w załości, krzyczy że chybiono.  
 Strzelec i obławniccy poszli jedną stroną  
 Na przełaj zwierza między ostępem i puszczą;  
 A niedźwiedz odstraszone psów i ludzi tłuszcza,

Zwrócił się nazad w miejsca mniej pilnie strzeżone  
 Ku polom, skąd już zeszły strzelcy rozstawione,  
 Gdzie tylko pozostali z mnogich łowczych szyków  
 Wojski, Tadeusz, Hrabia s kilką obławników.

Tu las był rzadszy; słychać z głębi ryk, trzask łomu,  
 Aż z gestwy jak s chmur wypadł niedźwiedź nakształt gromu;  
 W koło psy gonia, straszą, rwą; on wstał na nogi  
 Tyłne i spojrzął w koło, rykiem strasząc wrogi,  
 I przedniemi łapami to drzewa korzenie,  
 To pniaki osmalone, to wrosłe kamienie  
 Rwał, waląc w psów i w ludzi; aż wyłamał drzewo  
 Kręcąc nim jak maczugą, na prawo, na lewo;  
 Runął wprost na ostatnich strażników obławy,  
 Hrabie i Tadeusza: oni bez obawy  
 Stoją w kroku, na zwierza wytknęli flint rury,  
 Jako dwa konduktory w łono ciemnej chmury;  
 Aż oba jednym razem pociągnęli kórki,  
 (Niedoświadczeni!) razem zagrzmiały dwórurki;  
 Chybili; Niedźwiedź skoczył, oni tuż utkwiony  
 Oszczep jeden chwycili czterema ramiony,  
 Wydzierali go sobie; spojrzą, aż tu s pyska

Wielkiego czerwonego dwa rzędy klów błyska,  
 I łapa s pazurami już się na łby spuszcza;  
 Pobledli, w tył skoczyli, i gdzie rzadnie puszcza  
 Zmykali; zwierz za nimi wspiął się, już pazury  
 Zahaczał, chybił, podbiegł, wspiął się znów do góry,  
 I czarną łapą sięgał Hrabiego włos płowy.  
 Zdarłby mu czaszkę z mózgow jak kapelusz z głowy,  
 Gdy Assessor z rejentem wyskoczyli z boków,  
 A Gerwazy biegł s przodu o jakie sto kroków,  
 Z nim Kobak, choć bez strzelby— i trzej w jednej chwili  
 Jak gdyby na komendę razem wystrzelili.  
 Niedźwiedź wyskoczył w górę jak kot przed chartami,  
 I głową na dół runął, i czterma łapami  
 Przewróciwszy się młyńcem, cielska krwawe brzemie  
 Waląc tuż pod Hrabiego, zbił go z nóg na ziemię.  
 Jeszcze ryczał, chciał jeszcze powstać, gdy nań wsiadły  
 Rozjuszona Strapczyna i Sprawnik zajadły.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty  
 Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty  
 Jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął,  
 Wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął,

Zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha  
 I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,  
 I zagrał: róg jak wichur, nie wstrzymanym dechem,  
 Niesie w puszcze muzykę i podwaja echem.  
 Umilkli strzelce, stali szczwacze zadziwieni  
 Mocą, czystością, dziwną harmonią pieśni.  
 Starzec cały kunszt którym niegdyś w lasach sływał  
 Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinał;  
 Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,  
 Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.  
 Bo w graniu była łowów historia krótka:  
 Z razu odzew dźwięczący, rzeński: to pobudka;  
 Potem jęki po jękach skomla: to psów granie;  
 A gdzie niegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało  
 Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.

Zadał znowu; myśliłbyś że róg kształty zmieniał,  
 I że w ustach Wojskiego to grubiał to cieniał,  
 Udając głosy zwierząt; to raz w wileczą szyję  
 Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje,

Znowu jakby w niedźwiedzie rozwarłszy się garło,  
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,  
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu były setne rogi,  
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,  
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry  
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało  
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.  
Ile drzew tyle rogów znalazło się w boru,  
Jedne drugim pieśń niosą jak s choru do choru.  
I szła muzyka coraz szersza, coraz dalsza,  
Coraz ciższa i coraz czystsza, doskonalsza,  
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu

Roskrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym  
 Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałém, promienném,  
 Z oczyma wzrzesionemi, stał jakby natchniony,  
 Łowiąc uchem ostatnie znikające tony.  
 A tymczasem zagrzmiało tysiące oklasków,  
 Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

Uciszone się zwolna, i oczy gawiedzi  
 Zwróciły się na wielki, świeży trup niedźwiedzi:  
 Leżał krwią opryskany, kulami przeszyty,  
 Piersiami w gęszczę trawy wplątany i wbity,  
 Rosprzestrzenił szeroko przednie krzyżem łapy,  
 Dyszał jeszcze, wylewał strumień krwi przez chrapy,  
 Otwierał jeszcze oczy, lecz głowy nie ruszy;  
 Pijawki Podkomorzego dierzżą go pod uszy,  
 Z lewej strony Strapczyna, a s prawej zawisał  
 Sprawnik i dusząc gardziel krew czarną wysysał.

Zaczem Wojski rozkazał kij żelazny włożyć  
 Psom między zęby, i tak paszczęki rostworzyć.  
 Kolbami przewrócono na wznak zwierza zwłoki,  
 I znów trzykrotny wiwat uderzył w obłoki.



— A co? krzyknął Assessor, kręcąc strzelby rurą,  
 A co? fuzyjka moja? górą uosi górą!  
 A co? fuzyjka moja? nie wielka ptaszyna,  
 A jak się popisała? to jej nie nowina,  
 Nie puści ona na wiatr żadnego ładunku,  
 Od Książęcia Sanguszki mam ją w podarunku.  
 Tu pokazywał strzelbę przedziwnej roboty  
 Choć maleńką, i zaczął wyliczać jej cnoty.  
 — Ja biegłem, przerwał Rejent otarłszy pot s czoła,  
 Biegłem tuż za niedźwiedziem; a Pan Wojski woła  
 Stój na miejscu; jak tam stać, niedźwiedź w pole wali,  
 Rwąc s kopyta jak zając coraz dalej, dalej,  
 Aż mi ducha niestało, dobiedz ni nadziei,  
 Aż spojrzę w prawo, sady, a tu rzadko w kniei,  
 Jak też wziąłem na oko, postójże marucha,  
 Pomyśliłem, i basta, ot leży bez ducha;  
 Tęga strzelba, prawdziwa to Sagalasówka,  
 Napis Sagalas London à Bałabanówka.  
 (Sławny tam mieszkał słószarz polak, który robił  
 Polskie strzelby, ale je po angielsku zdobił.)

— Jak to, parsknął Assessor, do kroćset niedźwiedzi!

To to niby Pan zabił? co też to Pan bredzi?

— Słuchajno, odparł Rejent, tu Panie nie śledztwo,  
Tu obława, tu wszystkich weźmiew na świadectwo.

Więc kłótnia między zgrają wszczęła się zawzięta,  
Ci stronę Assessora, ci brali Rejenta;

O Gerwazym niewspomniał nikt, bo wszyscy biegli  
Z boków, i co się s przodu działo nie postrzegli.

Wojski głos zabrał: teraz jest przynajmniej za co,  
Bo to Panowie nie jest ow szarak ladaco,

To niedźwiedz, tu już nie żal poszukać odwetu,  
Czy szarpentyną, czyli nawet s pistoletu;

Spór wasz trudno pogodzić, więc dawnym zwyczajem,  
Na pojedynek nasze pozwolenie dajem.

Pamiętam za mych czasów żyło dwóch sąsiadów,

Oba ludzie uczciwi, szlachta s prapradziadów,

Mieszkali po dwóch stronach nad rzekę Wilejką,

Jeden zwał się Domeyko a drugi Doweyko.

Do niedźwiedzicy oba razem wystrzelili,

Kto zabił trudno dociec, strasznie się kłócili,

I przysięgli strzelać się przez niedźwiedzią skórę:

To ni to po szlachecku, prawie rura w rurę.

Pojedynek ten wiele narobił hałasu;  
Pieśni o nim śpiewano za owego czasu.  
Ja byłem sekundantem; jak się wszystko działo,  
Opowiem od początku historję całą.

Nim Wojski zaczął mówić, Gerwazy spór zgodził;  
On niedźwiedzia z uwagą do koła obchodził,  
Nareszcie dobył tasak, rościął pysk na dwoje,  
I w tylcu głowy, mozgu roskroiwszy słoje,  
Znalazł kulę, wydobył, suknią ochędożył,  
Przymierzył do ładunku, do flinty przyłożył;  
A potem dłoń podnosząc i kulę na dłoni,  
Panowie, rzekł, ta kula nie jest z waszćj broni,  
Ona s tej Horeszkowskićj wyszła jednorurki,  
( Tu podniosł flintę starą, obwiązaną w sznurki)  
Lecz nie ja wystrzeliłem — o trzeba tam było  
Odwagi; straszno wspomnieć, w oczach mi się ćmiło!  
Bo prosto biegli ku mnie oba paniczowie,  
A niedźwiedź s tyłu już, już, na Hrabiego głowie,  
Ostatniego z Horeszków! chociaż po kądzieli.  
Jezus Marya, krzyknąłem; i Pańscy anieli  
Zesłali mi na pomoc Księdza Bernardyna.

On nas wszystkich zawstydził; oj dzielny księżyna!  
 Gdym drzał, gdym się do cyngla dotknąć nie ośmielił,  
 On mi z rąk flintę wyrwał, wycelił, wystrzelił:  
 Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!  
 I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!  
 Panowie! długo żyję, jednego widziałem  
 Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.  
 Ów głośny niegdyś u nas s tyłu pojedynków,  
 Ów co korki kobietom wystrzelał s patynków,  
 Ów łotr nad łotry, sławny w czasy wiekopomne,  
 Ów Jacek, vulgo Wąsal; nazwiska nie wspomnę:  
 Ale mu nie czas teraz dojeżdżać niedźwiedzi;  
 Pewnie po same wąsy hultaj w piekle siedzi.  
 Chwała Księdzu! dwom ludziom on życie ocalił,  
 Może i trzem; Gerwazy nie będzie się chwalił,  
 Ale gdyby otatnie s krwi Horeszków dziecie  
 Wpadło w bestyi paszczę, niebyłbym na świecie,  
 I moje by tam stare pogryzł niedźwiedź kości;  
 Pójdź księżę, wypijemy zdrowie Jegomości.

Próżno szukano księdza; wiedzą tylko tyle,  
 Że po zabiciu zwierza, zjawił się na chwilę,

Podskoczył ku Hrabiemu i Tadeuszowi,  
 A widząc że obadwa cali są i zdrowi,  
 Podniósł ku niebu oczy, cicho pacierz zmówił,  
 I pobiegł w pole szybko, jakby go kto łowił.

Tymczasem na Wojskiego rozkaz, pęki wrzosu.  
 Suche chrosty i pniaki rzucono do stosu;  
 Bucha ogień, wyrasta szara sosna dymu,  
 I rosszerza się w górze nakształt baldakimu.  
 Nad płomieniem oszczepy złożono w koziołki,  
 Na grotach zawieszono brzuchate kociołki;  
 Z wozów niosą jarzyny, mąki i pieczone,  
 I chleb.

Sędzia otworzył puzderko zamczyste,  
 W którym rzędami flaszek białe sterczą głowy;  
 Wybiera z nich największy kufel kryształowy,  
 ( Dostał go Sędzia w darze od księdza Robaka )  
 Wódka to Gdańska napój miły dla Polaka;  
 Niech żyje! krzyknął Sędzia w górę wznosząc flaszkę,  
 Miasto Gdańsk niegdyś nasze, będzie znowu nasze!  
 I lał srebrzysty likwor w kolej, aż na końcu

Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W kociołkach bigos grzano — w słowach wydać trudno  
 Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną;  
 Słów tylko brzęk usłyszysz i rymów porządek,  
 Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek.  
 Aby cenić litewskie pieśni i potrawy,  
 Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy.

Przecież i bez tych przypraw, potrawą nielada  
 Jest bigos, bo się z jarzyn dobrych sztucznie składa.  
 Bierze się doń siekana, kwaszona kapusta,  
 Która, wedle przysłowia, sama idzie w usta;  
 Zamknięta w kotle, łonem wilgotném okrywa  
 Wyszukanego cząstki najlepsze mięsiwa;  
 I praży się, aż ogień wszystkie z niej wycisnie  
 Soki żywne, aż z brzegów naczynia war pryśnie,  
 I powietrze do koła zionie aromatem.

Bigos już gotów. Strzelcy s trzykrotnym wiwatem  
 Zbrojni łyżkami biegą i bodą naczynie,  
 Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,

Zuiknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów,  
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów.

Kiedy się już do woli napili, najedli,  
Zwierz na wóz złożyli, sami na koń siedli,  
Radzi wszyscy, rozmowni, oprócz Assessora  
I Rejenta, ci byli gniewliwsi niż wczora,  
Kłóćąc się o zalety, ten swój Sanguszkówki,  
A ten bałabanowskiej swej Sagalasówki.

Hrabia też i Tadeusz jadą nie weseli,  
Wstydząc się że chybili i że się cofnęli:  
Bo na Litwie kto zwierza wypuści z obławy,  
Długo musi pracować nim poprawi sławy.

Hrabia mówił że pierwszy do oszczepu godził,  
I że spotkaniu z zwierzem Tadeusz przeszkodził;  
Tadeusz utrzymywał, że będąc silniejszy  
I do robienia ciężkim oszczepem zręczniejszy,  
Chciał wyręczyć Hrabiego: tak sobie niekiedy  
Przymawiali śród gwaru i wrzasku czeredy.

Wojski jechał po środku; staruszek szanowny,

Wesoły był nadzwyczaj i bardzo rozmowny;  
 Chcąc kłótników zabawić i do zgody dowieść,  
 Kończył im o Doweyce i Domeyce powieść :  
 —Assessorze, jeżeli chciałem byś z Rejentem  
 Pojedynkował, nie myśl że jestem zawziętym  
 Na krew ludzką; broń Boże, chciałem was zabawić,  
 Chciałem wam komedję niby to wyprawić,  
 Wznowić koncept, który ja, lat temu czterdzieście,  
 Wymyśliłem — przedziwny! — Wy młodzi jesteście,  
 Nie pamiętacie o nim, lecz za moich czasów,  
 Głośny był od tej puszczy, do poleskich lasów.

Domeyki i Doweyki wszystkie sprzeciwieństwa  
 Pochodziły, rzecz dziwna, z nazwisk podobieństwa  
 Bardzo niewygodnego. Bo gdy w czas seymików,  
 Przyjaciele Doweyki skarbili stronników,  
 Szepnął ktoś do szlachcica, daj kreskę Doweyce;  
 A ten niedosłyszawszy dał kreskę Domeyce.  
 Gdy na uczezie wniósł zdrowie Marszałek Rupeyko  
 Wiwat Doweyko, drudzy krzyknęli Domeyko;  
 A kto siedział w pośrodku, nie trafił do ładu,  
 Zwłaszcza przy niewyraźnej mowie w czas objadu.



Gorzej było ; raz w Wilnie jakiś szlachcic pijany,  
 Bił się w szable z Domeyką i dostał dwie rany;  
 Potém ow szlachcic z Wilna wracając do domu,  
 Dziwnym trafem z Doweyką zjechał sie u promu;  
 Gdy więc na jednym promie płynęli Wileyką,  
 Pyta sąsiada kto on, odpowie : Doweyko ;  
 Nie czekając dobywa rapier spod kireyki,  
 Czach, czach, i za Domeykę podciął wąs Doweyki.

Wreszcie jak na dobitkę, trzeba jeszcze było,  
 Żeby na polowaniu tak się wydarzyło,  
 Że stali blisko siebie oba imiennicy,  
 I do jednej strzelili razem Niedźwiedzicy.  
 Prawda że po ich strzale upadła bez ducha,  
 Ale już pierwej niosła z dziesiątek kul w brzuchu ;  
 Strzelby z jednym kalibrem miało wiele osób,  
 Kto zabił Niedźwiedzicę? dojdźże ! jaki sposób ?

Tu już krzyknęli : dosyc'! trzeba raz rzecz skończyć,  
 Bóg nas czy diabeł złączył, trzeba się rozłączyć :  
 Dwóch nas jak dwóch słońc pono za nadto na świecie,-  
 A więc do szerpentynek i stają na mecie.

Oba szanowni ludzie; co ich szlachta godzą,  
 To oni na się jeszcze zapalczywiej godzą.  
 Zmienili broń; od szabel szło na pistolety,  
 Stają, krzyczym że nadto przybliżyli mety;  
 Oni na złość, przysięgli przez niedźwiedzią skórę  
 Strzelać się, śmierć niechybna! prawie rura w rurę;  
 Oba tego strzelali — Sekunduj Hreczecha;  
 Zgoda rzekłem, niech zaraz dół wykopie klecha:  
 Bo taki spór nie może skończyć się na niczém;  
 Lecz bijcie się szlacheckim trybem, nie rzeźniczym,  
 Dosyć już mety zbliżać, widzę żeście zuchy,  
 Chcecie strzelać się rury oparłszy na brzuchy?  
 Ja nie pozwolę; zgoda że na pistolety;  
 Lecz strzelać się nie z dalszej, ani z bliższej mety,  
 Jak przez skórę niedźwiedzią; ja rękami memi  
 Jako sekudant skórę rościągnę na ziemi,  
 I ja sam was ustawię. Waść po jednej stronie  
 Stanie na końcu pyska, a Waść na ogonie.  
 Zgoda! wrzaśli: czas? — jutro — miejsce? Karczma Usza.  
 Rozjechali się. Ja zaś do Wirgiliusza —

Tu Wojskiemu przerwał krzyk: Wyczha! tuż spod koni

Smyknął szarak ; już Kusy, już go Sokoł goni.  
 Psy wzięto na obławę, wiedząc że s powrotem  
 Na polu łatwo można napotkać się s kotem ;  
 Bez smyczy szły przy koniach ; gdy kota spostrzegły,  
 Wprzód nim strzelcy poszczuli już za nim pobiegły.  
 Rejent też i Assessor chcieli koźmi natrzeć,  
 Lecz Wojski wstrzymał krzyząc : wara ! stać i patrzeć ;  
 Nikomu krokiem ruszyć z miejsca niedozwolę,  
 Stąd widzim wszyscy dobrze, zając idzie w pole.  
 W istocie, kot czuł s tyłu myśliwych i psiarnie,  
 Rwał w pole, słuchy wytknął jak dwa różki sarnie,  
 Sam szarzał się nad rolą długi, wyciągnięty,  
 Skoki pod nim sterczały jakby cztery pręty,  
 Rzekłbyś że ich nie rusza tylko ziemię trąca  
 Po wierzchu, jak jaskółka wodę całująca.  
 Pył za nim, psy za pyłem, zdaleka się zdało,  
 Że zając, psy i charty jedne tworzą ciało :  
 Jakby jakaś przez pole suwała się źmija,  
 Kot jak głowa, pył s tyłu jakby modra szyja,  
 A psami jak podwojnym ogonem wywija.

Rejent, Assessor patrzą, otworzyli usta,

Dech wstrzymali; wtem Rejent pobladnął jak chusta,  
 Zbladł i Assessor, widzą — fatalnie się dzieje,  
 Owa zmija im dalcj, tćm bardziej dłuzej,  
 Juź rwie się w pół, juź znikła owa szyja pyłu,  
 Głowa juź blisko lasu, ogony, gdzie s tyłu!  
 Głowa niknie, raz jeszcze jakby kto kutasem  
 Mignął: w las wpadła; ogon urwał się pod lasem.

Biedne psy, ogłupiałe biegały pod gajem,  
 Zdawały się naradzać, oskarżać nawzajem;  
 Wreście wracają, zwolna skacząc przez zagony,  
 Spuściły uszy, tułą do brzucha ogony,  
 I przybiegłszy, ze wstydu nieśmieją wznieść oczu,  
 I zamiast iść do Panów, stały na uboczu.

Rejent spuścił ku piersiom zasępione czoło,  
 Assessor rzucał okiem ale niewesoło,  
 Potćm zaczęli oba słuchaczom wywódzić:  
 Jak ich charty bez smycza nie nawykły chodzić,  
 Jak kot z nienacka wypadł, jak źle był poszczuty  
 Na roli, gdzie psom chyba trzebaby wdziać buty,  
 Tak pełno wszćdzie głazów i ostrych kamieni.

Mądrze rzecz wyłuszczali, szczwacze doświadczeni;  
 Myśliwi s tych mów wiele mogliby korzystać,  
 Lecz nie słuchali pilnie, ci zaczęli świstać,  
 Ci śmiać się w głos, ci mając niedźwiedzia w pamięci  
 Gadali o nim, świeżą obławą zajęci.

Wojski ledwie raz okiem za zającem rzucił,  
 Widząc że uciekł, głowę obojętnie zwrócił  
 I kończył rzecz przerwana: na czém więc stanąłem?  
 A ha! na tém, że obu za słowo ująłem  
 Iż będą strzelali się przez niedźwiedzią skórę,  
 Szlachta w krzyk, to śmierć pewna! prawie rura w rure,  
 A ja w śmiech, bo mnie uczył mój przyjaciel Maro,  
 Że skóra zwierza nie jest ladajaką miarą.  
 Wszak wiecie Waćpanowie jak królowa Dydo  
 Przypłynęła do Libów i tam z wielką biedą  
 Wytargowała sobie taki kawał,  
 Któryby się wołową skórą nakryć dawał;  
 Na tym kawałku ziemi stanęła Kartago!  
 Więc ja to sobie w nocy rozbieram z uwagą.

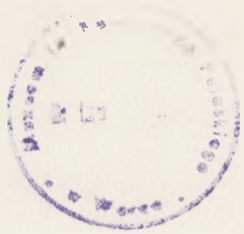
Ledwie dniało, już z jednej strony taradejką

Jedzie Dowejko, z drugiej na koniu Domeyko.  
 Patrzą, aż tu przez rzekę, leży most kosmaty,  
 Pas ze skóry niedźwiedziej porzniętej na szmaty.  
 Postawiłem Dowejkę na zwierza ogonie  
 Z jednej strony, Domeykę zaś po drugiej stronie.  
 Pukajcie teraz, rzekłem, choć przez całe życie,  
 Lecz póty was niepuszczę aż się pogodzicie.  
 Oni w złość; a tu szlachta kładnie się na ziemi  
 Od śmiechu, a ja s Księdzem słowy poważnemi  
 Nuż im z Ewanjelji, s statutów dowodzić,  
 Niema rady: — śmieli się i musieli zgodzić.

Spor ich potem w dozgonną przyjaźń się zamienił,  
 I Dowejko się s siostrą Domeyki ożenił,  
 Domeyko pojął siostrę szwagra, Dowejkównę,  
 Podzielili majątek na dwie części równe,  
 A w miejscu gdzie się zdarzył tak dziwny przypadek,  
 Pobudowawszy karczmę, nazwali Niedźwiadek.



# OBJAŚNIENIA.





*Ostatni zajazd na Litwie.*

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnej policji pod swemi rozkazami, a obywatele możni trzymali nadworne pólki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto tysięczne wojska. Żałujący więc uzyskawszy dekret musiał po exekucją udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w rękę i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żałującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka exekucja zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. — W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djablem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 9, w. 5. Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie.

Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnej górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogrodku, tudzież Żyrowickiej i Boruńskiej.

Str. 14, w. 5. Nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) był niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż Osobom poważnym, nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Oboźnym, Stolnikiem lub Podczaszym, z razu w rozmowie tylko i w korespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd Rossyjski zabraniał podobnych tytułów, i pragnąłby je śmiesznością okryć a wprowadzić na ich miejsce, tytułowanie podług rang swojej hierarchji, do której Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 14, w. 19. . . . Ale nie myśl wcale,  
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd Rossyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od

vazu praw i instytucji cywilnych, ale je powoli ukazami podkopuje i roztacza. W Małorossyi na przykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony. Litwie zostawiono całe dawne urządzenie Sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu Sędziowie ziemscy i grodzczy w powiatach, i Sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instancji, przy sądach więc miejscowych, ledwie pozostał cień dawniej powagi tradycyjnej.

Str. 16, w. 1. Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitatis, za rządu Rossyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze nickiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników czyli mierzniczych powiatowych.

Str. 19, w. 11. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo generał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał in-tronmissye, robił wizyc, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 28, w. 11. Biegali za nim wszyscy jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiami drobne ptastwo szczególnie jaskułki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie : latać jak za rarogiem.

Str. 32, w. 13. . . . . Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 34, w. 21. Assessora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assessorowie składają policję ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczani od Rządu; ci ostatni zowią się koronui. Sędziowie appellacyjni zowią się także Assessorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelarją, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzów sądowych.

Str. 45, w. 3. Coby Rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 45, w. 9. Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz ostatni Pisarz W. X. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasieńskim. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnot i patriotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 47, w. 21. Wózny pas mu odwiązał. pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowa i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 49, w. 2. Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron processujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Wózny musiał mieć takową wokandę.

Str. 51, w. 11. Rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Generał Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektorjatowi zdobyte chorągwie.

Str. 51, w. 12. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rośnie.

Książę Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła.

W Emigracji jest kilku Weteranów pozostałych z owej nieszczęsnej wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

Str. 68, w. 18. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 71, w. 7. I czarną mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 81, w. 19. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, które mi Litwini prowadzą handel s Prussami, splawiając zboża, i biorąc wzamian za nie towary kolonialne.

Str. 97, w. 9. Książę Dominik, kiedym z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, — emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linia męska Książąt na Olyec i Nieświeżu, największych Panów w Polsce i zapewne w Europie.

Str. 97, w. 11. . . . z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowej za Kosciuszki.  
Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 114, w. 10. Panieuki za wysmukłym gonią borowikiem,  
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna, o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W tej pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 132, w. 9. Nasz malarz Orłowski. . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł, niedawno w Petersburgu.

Str. 138, w. 14. . . . . Dwie Pijawki,  
Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Sraczyną.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierzka, szczególnie niedźwiedzia.

*Sprawnik* czyki kapitan *Sprawnik*, naczelnik Policji Ziemskiej — *Sraczy*, rodzaj Prokurora rządowego. Urzędnicy ci mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiem są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 144, w. 5. Ukofysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki Książę Gedymiu miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 144, w. 26. Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 145, w. 2. Czy żyje wielki Baublis.

W powiecie Rosieńskim w majątności Paszkiewicza Pissarza Ziemskiego, rośl dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygniętego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 145, w. 5. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem.

Nie daleko fary Nowogrodzkiej, rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.



Str. 145, w. 15. . . . . Wszak ów dąb gaduła  
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów śpiewa.

**Ob. Poema Goszczyńskiego « Zamek Kaniowski. »**

Str. 156, w. 2. Kołomyjek z Halicza.

**Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.**

Str. 156, w. 16. Znał się dobrze na handlu zbożowym ,  
Na wicinnym. . .

**Ob. przyp. do str. 81, w. 18.**

Str. 157, w. 12. Miejsce zwane pokuciem.

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd rossyanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gością którego chce uczcić.

Str. 169, w. 20. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,  
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się , i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się , dziób zamyka , i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy Ornitologowie.

Str. 170, w. 2. . . . . Stąd to w miejscach dostępnych kiedy człowiek gości.  
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście, nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

Str. 179, w. 2. . . . . A co fuzyjka moja, nie wielka ptaszyna.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzyj ptaka w lot trafiają.

Str. 184, w. 1. . . . . Zaczęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej, bywają na dnie listki złota.

Str. 191, w. 14. . . . . Taki ziemi kawał,  
któryh się wołowa skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznać na pasy skórę wołową, i tym sposobem zamknęła w obrębic skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Encydzie, ale zapewne w Komentarzach Scholiastów.

Str. 212, w. 1. Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi.

Raz na Sejmie poseł *Filip* ze wsi dziedzicznej *Konopie*, zabrawszy głos, tak dalece odstąpił od materji, że wzbudził śmiech powszechny w Izbie. Stąd urosło przysłowie wyrwał się jak Filip s konopi.

NB. Niektóre miejsca w pieśni czwartej są pióra **STEFANA WITWICKIEGO.**

OMYŁKI.

Str. 30, w. 17. Bez ręki lub nogi      *popraw* : Bez ręki lub bez nogi.

Str. 52, w. 4. Piotrowki, Obolewki      *popraw* : Piotrowski, Obolewski.

Str. 53, w. 10. Postrzegli to chłopey      *popraw* : Postrzegali to chłopey.

Str. 83, w. 12. Oba dobrze puszczali      *popraw* : Oba dobrze poszczuli.

Str. 111, w. 14. Cały w wiatr      *popraw* : Cały kwiat.

Str. 124, w. 14. Jeśli Tadeusza      *popraw* : Jeśli Tadeuszka

Str. 145, w. 20. Bym was oglądał      *popraw* : Bym wrócił was oglądać  
znowu

Str. 168, w. 8. W koło      *popraw* : W około.

---

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

---



# SPIS RZECZY.

---

	Strona.
KSIĘGA PIERWSZA <b>GOSPODARSTWO</b> .....	5
KSIĘGA DRUGA — <b>ZAMEK</b> .....	55
KSIĘGA TRZECIA — <b>UMIEGI</b> .....	99
KSIĘGA CZWARTA — <b>DYPLOMATYKA I ŁOWY</b> .....	141
KSIĘGA PIĄTA — <b>KŁOTNIA</b> .....	193
OBIAŚNIENIA.....	241



Pochodziły te ruchy.

U bliskiej brzeziny

Było wielkie mrowisko, owad gospodarny  
 Snuł się wkoło po trawie, ruchawy i czarny;  
 Nie wiedzieć czy s potrzeby, czy z upodobania,  
 Lubił szczególnie zwiedzać świątynię dumania;  
 Od stołecznego wzgórka aż po źródła brzegi  
 Wydeptał drogę, którą wiodł swoje szeregi.  
 Niestety Telimena siedziała wśród drożki;  
 Mrówki znęcone blaskiem bieluchnej pończoszki,  
 Wbiegły, gęsto zaczęły łaskotać i kąsać,  
 Telimena musiała uciekać, otrząsać,  
 Nakoniec na murawie sięść i owad łowić.

Niemógł jej swej pomocy Tadeusz odmówić;  
 Oczyszczając sukienkę aż do nóg się zniżył,  
 Usta trafem ku skroniom Telimeny zbliżył—  
 W tak przyjaznej postawie, choć nie nie mówili  
 O rannych kłótniach swoich, przecież się zgodzili;  
 I nie wiedzieć jak długo trwałaby rozmowa,  
 Gdyby ich nie przebudził dzwonek s Soplicowa —

Hasło wiesz: pora powracać do domu,  
 Zwłaszcza że słychać było opodal trzask łomu.  
 Może szukają? razem wracać nie wypada;  
 Więc Telimena w prawo pod ogród się skrada,  
 A Tadeusz na lewo biegł do wielkiej drogi;  
 Oboje w tym odwrocie mieli nieco trwogi:  
 Telimenie zdało się, że raz s poza krzaka  
 Błysła zakapturzona, chuda twarz Robaka;  
 Tadeusz widział dobrze, jak mu raz i drugi  
 Pokazał się na lewo cień biały i długi,  
 Co to było nie wiedział, ale miał przeczucie,  
 Że to był Hrabia w długim, angielskim surducie.

Wieczorzano w zamczysku. Uparty Protazy  
 Niedbając na wyraźne Sędziego zakazy,  
 W niebytność Państwa znowu do zamku szturmował,  
 I kredens doń ( jak mówi ) zaintromitował.  
 Goście weszli w porządku i stanęli kołem;  
 Podkomorzy naywyższe brał miejsce za stołem,  
 Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy,  
 Idąc kłaniał się damom starcom i młodzieży.  
 Kwestarz nie był u stołu; miejsce Bernardyna



Po prawej stronie męża, ma Podkomorzyna.  
 Sędzia, kiedy już gości jak trzeba ustawił,  
 Żegnając po łacinie, stół pobłogosławił;  
 Mężczyznom dano wódkę; zaczęm wszyscy siedli,  
 I chłodnik zabielały mileząc żwawo jedli.

Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,  
 W towarzystwie kielichów Węgrzyna, Malagi;  
 Jedzą, piją a milczą wszyscy. Nigdy pono  
 Od czasu jako mury zamku podźwigniono,  
 Który uraczał hojnie tylu szlachty bratów,  
 Tyle wesołych słyszał i odbił wiwatów,  
 Niepamiętano takiej posępnej wieczerzy;  
 Tylko pukanie korków i brzęki talerzy,  
 Odbijała zamkowa sień wielka i pusta:  
 Rzekłbyś iż zły duch gościom zasznurował usta.

Mnogie były powody milczenia: myśliwi  
 Powrócili z ostępu dosyć gadatliwi;  
 Lecz gdy zapał ochłonął, myśląc nad obławą,  
 Postrzegają że wyszli z niej nie z wielką sławą:  
 Trzebaż było ażeby jeden kaptur popi,

Wyrwawszy się Bóg wie skąd, jak Filip s konopi,  
 Przepisał wszystkich strzelców powiatu? O wstydzie!  
 Cóż o tém będą gadać w Oszmianie i Lidzie,  
 Które od wieków walczą s tutejszym powiatem  
 O pierwszeństwo w strzelectwie; myśleli więc nad tém.

Zaś Assessor i Rejent prócz wspólnych niechęci,  
 Świeżą hańbę swych chartów mieli na pamięci.  
 W oczach im stoi niecny kot, skoki wyciąga,  
 I omykiem spod gaju kiwając uraga,  
 I tym omykiem ćwiczy po sercach jak biczem:  
 Siedzieli s pochylonóm ku misie obliczem.  
 Assessor nowe jeszcze miał powody żalów,  
 Patrząc na Telimenę i na swych rywalów.

Do Tadeusza siedzi Telimena bokiem,  
 Pomięszana, zaledwie śmie nań rzucić okiem;  
 Chciała zasepionego Hrabiego zabawić,  
 Wyzwać w dłuższą rozmowę, w lepszy humor wprawić:  
 Bo Hrabia dziwnie kwaśny powrócił s przechadzki,  
 A raczej jako myślał Tadeusz z zasadzki;  
 Słuchając Telimeny, czoło podniósł hardo,

Brwi zmarszczył, spójrzał na nią ledwie nie s pogardą ;  
 Potem przysiadł się jak mógł najbliżej do Zosi ,  
 Nalewa jej do szklanki, talerze przynosi,  
 Prawi tysiąc grzeczności, kłania się, uśmiecha ,  
 Czasem oczy wywraca i głęboko wzdycha.  
 Widać przecież, pomimo tak zręczne łudzenie,  
 Że unizgał się, tylko na złość Telimenie;  
 Bo głowę odwracając niby nie umyślnie,  
 Co raz ku Telimenie groźnem okiem błysnie.

Telimena nie mogła pojąć co to znaczy,  
 Ruszywszy ramionami, myśliła: dziwaczy.  
 Wreszcie nowym zalotom Hrabiego dość rada,  
 Zwróciła się do swego drugiego sąsiada.

Tadeusz téż posępny nic nie jadł, nic nie pił,  
 Zdawał się słuchać rozmów, oczy w talerz wlepił;  
 Telimena mu leje wino, on się gniewa  
 Na natrętność; pytany o zdrowie — poziewa.  
 Ma za złe (tak się zmienił jednego wieczora )  
 Że Telimena zhytnie do zalotów skora;  
 Gorszy się że jej suknia tak wcięta głęboko,

Nie skromnie — a dopiero, kiedy podniosł oko!  
 Aż przeląkł się, bystrzejsze teraz miał źrenice,  
 Ledwie spojrział w rumiane Telimeny lice,  
 Odkrył od razu więtką, straszną tajemnicę!  
 Przebóg, naróżowana!

Czy róż w złym gatunku,  
 Czy jakoś na obliczu przetarł się s trefunku:  
 Gdzie niegdziejrzędniał, na wskrós grubszą płec' odsłania.  
 Może to sam Tadeusz w *Świątyni dumania*,  
 Rozmawiając za blisko, omusknął z bielidła  
 Karmin, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.  
 Telimena wracała nazbyt śpieszno z lasu,  
 I poprawić kolory swe nie miała czasu;  
 Około ust szczególnie widne były piegi.  
 Nuż oczy Tadeusza, jako chytre szpiegi,  
 Odkrywszy jedną zdradę, poczną w kolej zwiedzać  
 Resztę wdzięków, i wszędzie, jakiś fałsz wysledzać:  
 Dwóch zębów braknie w ustach; na czole, na skroni  
 Zmarszczki; tysiące zmarszczków pod brodą się chroni!

Niestety! czuł Tadeusz, jak jest niepotrzebnie,

Rzecz piękną nazbyt ściśle zważać; jak haniebnie  
 Być szpiegiem swej kochanki; nawet jak szkaradnie,  
 Odmieniać smak i serce—lecz któż sercem władnie?  
 Darmo chce brak miłości zastąpić sumnieniem,  
 Chłód duszy ogrzać znowu jej wzroku promieniem:  
 Już ten wzrok, jako księżyc światły a bez ciepła,  
 Błyskał po wierzchu duszy, która do dna krzepła..  
 Takie robiąc sami w sobie wyrzuty i skargi,  
 Pochylił w talerz głowę, milczał i gryzł wargi.

Tym czasem zły duch nową pokusą go wabi,  
 Podśłuchiwać co Zosia mówiła do Hrabi:  
 Dziewczyzna uprzejmością Hrabiego ujęta,  
 Z razu rumieniła się spuściwszy oczęta,  
 Potém śmiać się zaczęli, w końcu rozmawiali,  
 O jakimś niespodzianém w ogrodzie spotkaniu,  
 O jakimś po łopuchach i grzędach stapaniu.  
 Tadeusz wyciągnąwszy co najdłużej uszy,  
 Połykał gorzkie słowa i przetrawiał w duszy.  
 Okropną miał biesiadę. Jak w ogrodzie żmija,  
 Dwoistém żądłem zioło zatrute wypija,  
 Potém skręci się w kłębek i na drodze legnie,

Groząc stopie co na nią nieostrożnie biegnie ;  
 Tak Tadeusz opiły trucizną zazdrości,  
 Zdawał się obojętny, a pękał ze złości.

W najweselszém zebraniu niech się kilku gniewa,  
 Zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa.  
 Strzeley dawniej milczeli, druga stołu strona  
 Umilkła, Tadeusza zółcią zarażona.

Nawet Pan Podkomorzy nadzwyczaj ponury,  
 Nie miał ochoty gadać; widząc swoje córy  
 Posażne i nadobne Panny, w wieku kwiecie,  
 Zdaniem wszystkich najpierwsze partye w powiecie,  
 Milczące, zaniedbane od milczącej młodzi.  
 Gościnnego Sędziego również to obchodzi;  
 Wojski zaś uważając że tak wszyscy milczą,  
 Nazywał tę wieczerzą nie polską, lecz wilezą.

Hreczecha na milczenie miał słuch bardzo czuły,  
 Sam gawęda, i lubił niezmiernie gaduły.  
 Nie dziw! ze szlachtą strawił życie na biesiadach,  
 Na polowaniach, zjazdach, sejmikowych radach;

Przywykł żeby mu zawsze coś bębniło w ucho,  
 Nawet wtenczas, gdy milczał, lub s placką za muchą  
 Skradał się, lub zamknięwszy oczy siadał marzyć ;  
 W dzień szukał rozmów, w nocy musiano mu gwarzyć  
 Pacierze różańcowe, albo gadać bajki :  
 Stąd też nieprzyjacielem zabitym był fajki,  
 Wymyślonej od Niemców by nas scudzoziemczyć,  
 Mawiał : Polskę oniemić, jest to Polskę zniemczyć.—  
 Starzec wiek przegwarzywszy chciał spoczywać w gwarze,  
 Milczenie go budziło ze snu : tak młynarze  
 Uśpieni kół tarkotem, ledwie staną osie,  
 Budzą się krzycząc s trwogą : a słowo stało się.

Wojski ukłonem dawał znak Podkomorzemu,  
 A ręką od ust lekko skinął ku Sędziemu,  
 Prosząc o głos ; Panowie na ten ukłon niemy  
 Odkłonili się oba, co znaczy : prosimy.  
 Wojski zagaił.

« Smiałbym upraszać młodzieży,  
 Ażebym postaremu bawić u wiczerzy,  
 Nie milczeć i żuć : czy my Ojciec Kapucyni?

Kto milezy między szlachtą, to właśnie tak czyni,  
 Jako myśliwiec który nabój rdzawi w strzelbie :  
 Dla tego ja rozmowność naszych przodków wielbię.  
 Po łowach szli do stołu, nie tylko by jadać,  
 Ale aby nawzajem mogli się wygadać,  
 Co każdy miał na sercu ; nagany, pochwały  
 Strzelców i obławników, ogary, wystrzały,  
 Wywoływano na plac ; powstawała wrzawa,  
 Miła uchu myśliwców, jak druga obława.  
 Wiem, wiem o co wam idzie : ta czarnych trosk chmura  
 Pono z Robakowego wzniosła się kaptura !  
 Wstydzicie się swych pudeł ! niech was wstyd nie pali  
 Znałem myśliwych lepszych od was, a chybiali ;  
 Trafiać, chybiać, poprawiać, to kolej strzelocka.  
 Ja sam, chociaż ze strzelbą włoczę się od dziecka,  
 Chybiałem ; chybiał sławny ów strzelec Tułoszczyk,  
 Nawet nie zawsze trafiał pan Rejtan nieboszczyk.  
 O Rejtanie opowiem później. Co się tycze  
 Wypuszczenia z obławy, że oba panieze  
 Zwierzowi jak należy kroku niedostali  
 Choć mieli oszczep w ręku, tego nikt nie chwali.  
 Ani gani : bo zmykać mając nabój w rurze



Znaczyło po staremu być tchórzem nad tchórze,  
 Toż wystrzelić na oślep ( jak to robi wielu )  
 Nie przypuściwszy zwierza, nie wziawszy do celu,  
 Jest rzecz haniebna ; ale kto dobrze wymierzy,  
 Kto przypuści do siebie zwierza jak należy,  
 Jeśli chybił, cofnąć się może bez sromoty,  
 Albo walczyć oszczepem, lecz z własnej ochoty  
 A nie z musu : gdyż oszczep strzelcom poruczony,  
 Nie dla natarcia, ale tylko dla obrony.  
 Tak było po staremu : a więc mnie zawierze,  
 I waszej rejterady do serca niebierzcie,  
 Kochany Tadeuszu i Wielmożny Grafie ;  
 Ilekroć zaś wspomnicie o dzisiejszym trafie,  
 Wspomnijcie też starego Wojskiego przestrożę,  
 Nigdy jeden drugiemu nie zachodzić w drogę,  
 Nigdy we dwóch nie strzelać do jednej zwierzyny.

Właśnie Wojski wymawiał to słowo zwierzyny,  
 Gdy Assessor półgębkiem podszeptał : dziewczyny ;  
 Brawo krzyknęła młodzież, powstał szmer i śmiechy,  
 Powtarzano s kolci przestrożę Hreczechy,  
 Mianowicie ostatnie słowo : ci zwierzyny,

A drudzy w głoś śmiejąc się krzyczeli dziewczyny ;  
 Rejent szepnął : kobiety, — Assessor : kokiety,  
 Utkwiwszy w Telimencie oczy jak sztylety.

Nie myślał wcale Wojski przymawiać nikomu,  
 Ani uważał, co tam szeptą pokryjomu;  
 Rad bardzo że mógł damy i młodzież rośmieszyć,  
 Zwrócił się ku myśliwcom, chcąc i tych pocieszyć.  
 I zaczął, nalewając sobie kielich wina :

Nadareinnie oczyma szukam Bernardyna ;  
 Chciałbym mu opowiedzieć wypadek ciekawy,  
 Podobny do zdarzenia dzisiejszej obławy.  
 Klucznik mówił, że tylko znał jednego człeka,  
 Co tak celnie jak Robak mógł strzelić zdaleka ;  
 Ja zaś znałem drugiego : równie trafnym strzałem  
 Ocalił on dwóch panów ; sam ja to widziałem,  
 Kiedy do Nalibockich zaciągnęli lasów,  
 Tadeusz Rejtan poseł i książę Denassow.  
 Nie zazdrościli sławie szlachcica panowie,  
 Owszem u stołu, pierwsi wnieśli jego zdrowie,  
 Nadawali mu wielkich prezentów bez liku,

I skórę zabitego dzika : o tym dziku  
 Jo strzale, powiem wam jak naoczny świadek;  
 Bo to był dzisiejszemu podobny przypadek,  
 A zdarzył się najwięszym strzelcom za mych czasów,  
 Posłowi Rejtanowi i Księżciu Denassow.

A w tem ozwał się Sędzia nalewając czasę :  
 Piję zdrowie Robaka, Wojski, w ręce wasze.  
 Jeśli datkiem nie możem kwestarza zbogacić,  
 Postaramy się przecież za proch mu zapłacić,  
 Ureżamy, że niedźwiedź zabity dziś w boru,  
 Przez dwa lata wystarczy na kuchnię klasztoru.  
 Lecz skóry Księdzu niedam; lub gwałtem zabiore,  
 Albo ją mnich ustąpić musi przez pokorę,  
 Albo ją kupię choćby dziesiątkiem soboli.  
 Skórą tą rozrządzimy wedle naszej woli;  
 Pierwszy wieniec i sławę już wziął sługa boży,  
 Skórę Jaśnie Wielmożny pan nasz Podkomorzy  
 Temu da, kto na drugą nagrodę zasłużył.

Podkomorzy pogładził czoło i brwi zmrużył;  
 Strzelecy zaczęli szemrać, każdy coś powiadał,

Tamten jak zwierza znalazł, ten jak ranę zadał,  
 Tamten psiarnię nawołał, ów zwierza nawrócił  
 Znowu w ostęp. Assessor z Rejentem się kłócił,  
 Jeden wielbiąc przymioty swojej Sanguszkówki,  
 Drugi bałabanowskiej swój Sagalasówki.

Sędzio sąsiedzie, wreszcie wyrzekł Podkomorzy,  
 Pierwszą nagrodę słusznie zyskał sługa boży;  
 Lecz nie łatwo rozsądzić kto jest po nim drugi,  
 Bo wszyscy zdają mi się mieć równe zasługi,  
 Wszyscy równi zręcznością, hieglyością i męstwem.  
 Przecież dwóch dziś odznaczył los niebezpieczeństwem,  
 Dwaj byli niedźwiedziego najbliżsi pazura,  
 Tadeusz i pan Hrabia; im należy skóra.  
 Pan Tadeusz ustąpi (jestem tego pewny)  
 Jako młodszy i jako Gospodarza krewny;  
 Więc spolia opima weźmiesz Mości Hrabia.  
 Niech ten łup twą strzelecką komnatę ozdabia,  
 Niechaj pamiątką będzie dzisiejszej zabawy,  
 Godłem szczęścia łowczego, bodźcem przyszłej sławy.

Umilknął wesoły, myśląc że Hrabiego ucieszył,

Nie wiedział jak boleśnie serce jego przeszły.  
 Bo Hrabia na strzeleckiej komnaty wspomnienie,  
 Mimowolnie wzrok podniósł; a te łhy jelenie,  
 Te gałęziste rogi jakby las wawrzynów  
 Zasiany ręką ojców na wieńce dla synów,  
 Te rzędami portretów zdobione filary,  
 Ten w sklepieniu błyszczący herb Półkozic stary,  
 Ozwały się doń zewsząd głosami przeszłości;  
 Zbudził się z marzeń, wspomniął, gdzie, u kogo gości,  
 Dziedzic Horeszków, gościem wśród swych własnych progów,  
 Biesiadnikiem Sopliców, swych odwiecznych wrogów!  
 A przytęm zawiść którą czuł dla Tadeusza,  
 Tęm mocniej Hrabie przeciw Soplicom porusza.

Rzekł więc z gorzkim uśmiechem: mój domek zbyt mały,  
 Niema godnego miejsca na dar tak wspaniały;  
 Niech lepiej niedźwiedź czeka pośród tych rogaczy,  
 Aż mi go Sędzia razem z zamkiem oddać raczy.

Podkomorzy zgadując na co się zanosi,  
 Zadzwoił w tabakierę złotą, o głos prosi.

Godzienes pochwał, rzeczce, Hrabio mój sąsiedzie,  
 Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie ;  
 Nie tak jak modni wieku twojego panice,  
 Żyjący bez rachunku. Ja tuszę i życzę  
 Zgodą zakończyć moje sądy podkomorskie ;  
 Dotąd jedyna trudność jest o fundum dworskie.  
 Mam już projekt zamiany, fundum wynagrodzić  
 Ziemią, w sposób następny — Tu zaczął wywodzić  
 Porządnie (jak zwykł zawsze) plan przyszłej zamiany ;  
 Już był w połowie rzeczy ; gdy ruch niespodziany  
 Wszczął się na końcu stoła : jedni coś postrzegli,  
 Wskazują palcem, drudzy z oczyma tam biegli,  
 Aż wreszcie wszystkie głowy, jak kłosa schylone,  
 Wstecznym wiatrem w przeciwną zwróciły się stronę,  
 W kąt.

S kąta, kędy wisiał portret nieboszczyka  
 Ostatniego z rodziny Horeszków Stolnika,  
 Z małych drzwiczek ukrytych pomiędzy filary,  
 Wysunęła się cicho postać, nakształt mary.  
 Gerwazy ; poznano go po wzroście, po licach,  
 Po srebrzystych na żółtej kurcie Półkozicach.

Stąpił jako słup prosto, niemy i surowy,  
 Niezdjąwszy czapki, nawet nieschyliwszy głowy;  
 W rękę trzymał błyszczący klucz jakby puginał,  
 Odemknął szafę i w niej coś kręcić zaczynał.

Stały w dwóch kątach sieni, wsparte o filary,  
 Dwa kurantowe w szafach zamknięte zegary;  
 Dziwaki stare, dawno ze słońcem w niezgodzie,  
 Południe wskazywały często o zachodzie;  
 Gerwazy nie przybrał się machyny naprawić,  
 Ale bez nakręcenia nie chciał jej zostawić,  
 Dręczył kluczem zegary każdego wieczora;  
 Właśnie teraz przypadła nakręcania pora.  
 Gdy Podkomorzy sprawą zajmował uwagę  
 Stron interessowanych, on pociągnął wagę:  
 Zgrzytnęły wyszczerbionym zębem koła rdzawe,  
 Wzdrygnął się Podkomorzy i przerwał roprawę.  
 Bracie, rzekł, odłóż nieco twą pilną robotę —  
 I kończył plan zamiany; lecz Klucznik na psotę  
 Jeszcze silniej pociągnął drugiego ciężaru;  
 I wnet gil który siedział na wierzchu zegaru,  
 Trzepiocąc skrzydłem zaczął ciąć kurantów noty:

Ptak sztucznie wyrobiony, szkoda że popsuty,  
 Zająkał się i piszczał, im dalej tém gorzej.  
 Goście w śmiech; musiał przerwać znowu Podkomorzy.  
 Mości Kluczniku, krzyknął, lub raczej puszczyku,  
 Jeśli dziob twój szanujesz, dość mi tego krzyku.

Ale Gerwazy groźbą wcale się nie strwożył,  
 Prawą rękę poważnie na zegar położył,  
 A lewą wziął się pod bok; tak oburącz wsparty,  
 Podkomorzeńku! krzyknął, wolne pańskie żarty,  
 Wróbel mniejszy niż puszczyk, a na swoich wiorach  
 Śmielszy jest aniżeli puszczyk w cudzych dworach:  
 Co Klucznik to nie puszczyk; kto w cudze poddasze  
 Nocą wchodzi, ten puszczyk, i ja go wystraszę.  
 — Za drzwiz nim. Podkomorzy krzyknął.

— Panie Hrabia!

Zawołał Klucznik, widzisz Pan co się wyrabia:  
 Czy niedosyć się jeszcze pański honor plami,  
 Że Pan jadasz i pijasz s temi Soplicami;  
 Trzebaż jeszcze, aby mnie, zamku urzędnika,  
 Gerwazego Rembayłę, Horeszków Klucznika,



Lżyć w domu Panów moich, i Pan że to zniesie!  
 — Wtém Protazy zawołał trzykroć : Uciszcie się,  
 Na ustęp! Ja Protazy Baltazar Brzechalski,  
 Dwojga imion, Generał niegdyś trybunalski,  
 Vulgo Woźny, woźneńską obdukcją robię  
 I wizyą formalną, zamawiając sobie  
 Urodzonych tu wszystkich obecnych świadectwo  
 I pana Assessora wzywając na śledztwo ,  
 S powodu Wielmożnego Sędziego Soplicy :  
 O inkursyą, to jest o najazd granicy,  
 Gwałt zamku, w którym Sędzia dotąd prawnie włada,  
 Czego dowodem jawnym jest, że w zamku jada.  
 —Brzechaczu, wrzasnął Klucznik, ja cię wnet nauczę ;  
 I dobywszy z zapasa swe żelazne klucze,  
 Okręcił w koło głowy, puścił s całej mocy;  
 Pęk żelaza wyleciał, jako kamień s procy.  
 Pewnie łeb Protazemu rozbiłby na ćwierci ;  
 Szczęściem schylił się Woźny i wydarł się śmierci.

Porwali się z miejsc wszyscy, chwilę była głucha  
 Cichość, aż Sędzia krzyknął : w dyby tego zucha!  
 Hola chłopcy! — i czeladź rzuciła się żwawo

Ciasnym przejściem pomiędzy ścianami i ławą;  
 Lecz Hrabia krzesłem w środku zagroził im drogę  
 I na tym szanccu słabym utwierdziwszy nogę,  
 Wara! zawołał, Sędzio! niewolno nikomu  
 Krzywdzić sługę mojego w moim własnym domu;  
 Kto ma na starca skargę, niech mi ją przełoży.

Zysem w oczy Hrabiemu spojżał Podkomorzy.  
 « Bez Waścinój pomocy ukarać potrafię  
 Zuchwałego szlachetkę; a Waść Mości Grafic,  
 Przed dekretem ten zamek zawczasie przywłaszczasz;  
 Nie Wać tu jesteś panem, nie Wać nas ugaszczasz :  
 Siedź cicho jakieś siedział; jeśli siwej głowy  
 Nie czcisz, to szanuj pierwszy urząd powiatowy.

—Co mi? odmruknął Hrabia, dość już tej gawędy,  
 Nudźcie drugich waszemi względami i urzędami;  
 Dość już głupstwa zrobiłem, wdając się z Wać państwem  
 W pijatyki, które się kończą grubijaństwem.  
 Zdacie mi sprawę z mego honoru obraży;  
 Do widzenia po trzeźwu — pódź za mną Gerwazy.

Nigdy się odpowiedzi takiej niespodziewał  
 Podkomorzy, właśnie swój kieliszek nalewał,  
 Gdy zuchwalswem Hrabiego rażony jak gromem,  
 Oparwszy się o kielich butlem nieruchomym,  
 Głowę wyciągnął na bok i ucha przyłożył,  
 Oczy rozwarł szeroko, usta w pół otworzył;  
 Milczał, lecz kielich w ręku tak potężnie cisnął,  
 Że szkło dźwięknąwszy pękło, płyn w oczy mu prysnął.  
 Rzekłbyś że z winem ognia w duszę się nalało,  
 Tak oblicze spłonęło, tak oko pałało;  
 Zerwał się mówić, pierwsze słowo niewyraźnie  
 Mleł w ustach, aż przez zęby wyleciało : Błaźnie !  
 Grafiatko ! ja cię ! Tomasz ! karabellę ! Ja tu  
 Nauczę ciebie mores, błaźnie, daj go katu !  
 Względy, urzędy nudzą, uszko delikatne !  
 Ja cię tu zaraz po tych zauszniczkach płaćnę.  
 Fora za drzwi ! do korda ! Tomasz , karabellę !

Wtem do Podkomorzego skoczą przyjaciele ;  
 Sędzia porwał mu rękę : • Stój Pan, to rzecz nasza ,  
 Mnie tu naprzód wyzwano, Protazy, pałasza !  
 Puszcę go w taniec jako niedźwiadka na kij —

Lecz Tadeusz Sędziogo wstrzymał — Panie stryju,  
 Wielmożny Podkomorzy, czyż się Państwu godzi  
 Wdawać się s tym firecykiem, czy tu nie ma młodzi?  
 Na mnie to zdajcie, ja go należycie skarcę;  
 A Waszeć Panie śmiałku co wyzywasz starce,  
 Obaczmy czyli jesteś tak strasznym rycerzem;  
 Rosprawimy się jutro, plac i broń wybierzem.  
 Dziś uchoź pókiś cały —

Dobra była rada;  
 Klucznik i Hrabia wpadli w obroty nie lada.  
 Przy wyższym końcu stoła wrzał tylko krzyk wielki,  
 Ale z ostrego końca latały butelki  
 Koło Hrabiego głowy. Strwożone kobiety  
 W prośby, w płacz; Telimena, krzykuąwszy: niestety!  
 Wzniosła oczy, powstała, i padła zemdlona,  
 I przechyliwszy szyję przez Hrabi ramiona,  
 Na pierś jego złożyła swe piersi łabędzie.  
 Hrabia choć zagniewany, wstrzymał się w zapędzie,  
 Zaczął cucić, ocierać.

Tymczasem Gerwazy,

Wystawiony na stołków i butelek razy,  
 Już zachwiał się, już czeladź zakasawszy pięście  
 Rzuciła się nań zewsząd hurmem, gdy na szczęście  
 Zosia widząc szturm, skoczy i litością zdjeta,  
 Zasłania starca na krzyż rospiąwszy ręczęta —  
 Wstrzymali się; Gerwazy zwolna ustępował,  
 Zniknął z oczu, szukano gdzie się pod stół schował;  
 Gdy nagle, z drugiej strony wyszedł jak spod ziemi,  
 Podniosłszy w górę ławę ramiony silnemi,  
 Okręcił się jak wiatrak, oczyścił pół sieni,  
 Wziął Hrabie i tak oba ławą zasłonił  
 Cofali się ku drzwiczkom; już dochodzą progów,  
 Gerwazy stanął, jeszcze raz spojrzął na wrogów,  
 Dumał chwilę, niepewny, czy cofać się zbrojnie,  
 Czyli z nowym orężem szukać szczęścia w wojnie.  
 Obrał drugie; już ławę jak taran murowy  
 W tył dźwignął dla zamachu, już ugiąłwszy głowy,  
 Z wypiętą na przód pierśią, s podniesioną nogą  
 Miał wpaść... ujrzał Wojskiego, uczył w sercu trwozę.

Wojski cicho siedzący s przymrzużoném okiem,  
 Zdawał się pogrążony w dumaniu głębokiém;

Dopiero gdy się Hrabia s Podkomorzym skłócił  
 I Sędziemu pogroził, Wojski głowę zwrócił,  
 Zażył dwakroć tabaki i przetań powieki.  
 Chociaż Wojski Sędziemu był krewny daleki,  
 Ale w gościnnym jego domu zamieszkały,  
 O zdrowie przyjaciela był niezmiernie dbały.  
 Przypatrywał się zatem s ciekawością walce,  
 Wyciągnął zlekka na stół rękę dłoń i palce,  
 Położył nóż na dłoni, trzonkiem do paznokcia  
 Indexu, a żelazem zwrócony do łokcia,  
 Potem rękę w tył nieco wychyloną kiwał  
 Niby hawiąc się, lecz się w Hrabiego wpatrywał.

Sztuka rzucania nożów, straszna w ręcznej bitwie,  
 Już była zaniedbana podówczas na Litwie,  
 Znajoma tylko starym; Klucznik jej próbował  
 Nieraz w zwadach karczemnych, Wojski w niej celował.  
 Widać z zamachu ręki że silnie uderzy,  
 A z oczu łatwo zgadnąć, że w Hrabiego mierzy  
 (Ostatniego z Horeszków chociaż po kądzieli)  
 Mniej baczni młodzi ruchów starca niepojęli;  
 Gerwazy zbladnął, ławą Hrabiego zakłada,

Cofa się ku drzwiom. — « Łapaj ! » krzyknęła gromada.

Jako wilk obskoczony znienacka przy ścierwie,  
 Rzuca się oślep w zgraję co mu ucztę przerwie,  
 Już goni, ma ją szarpać, wtém sród psiego wrzasku  
 Trzasło ciche półkorcze, wilk zna je po trzasku,  
 Śledzi okiem, postrzega, że s tyłu za charty,  
 Myśliwiec w pół schylony, na kolanie wsparty  
 Rurą, ku niemu wije, i już cyngła tyka ;  
 Wilk uszy spuszcza, ogon podtuliwszy zmyka,  
 Psiarnia s tryumfującym rzuca się hałasem,  
 I skubie go po kudłach, zwierz zwraca się czasem,  
 Spojrzy, klapnie paszczką, i białych kłów zgrzytem  
 Ledwie pogrozi, psiarnia pierzcha ze skowytem.  
 Taki Gerwazy z groźną cofał się postawą,  
 Wstrzymując napastników oczyma i ławą,  
 Aż razem z Hrabią wpadli w głąb' ciemnej framugi.

« Łapaj ! » krzykniono znowu ; tryumf był nie długi :  
 Bo nad głowami tłumu Klucznik nie spodzianie  
 Ukazał się na chorze, przy starym organie,  
 I s trzaskiem jął wyrywać ołowiane rury,

Wielkąby klęskę zadał uderzając z góry.  
 Ale już goście tłumnie wychodzili s sieni,  
 Nieśmieli kroku dostać sład potworozeni,  
 I chwytając naczynia w ślad Panów uciekli,  
 Nawet nakrycia s częścią sprzętów się wyrzekli.

Któż ostatni, niedbając na groźby i razy  
 Ustąpił s placu bitwy? Brzechalski Protazy.  
 On za krzesłem Sędziego stojąc niewzruszenie,  
 Ciągnął woźnińskim głosem swoje oświadczenie,  
 Aż skończył, i s pustego szedł pobojowiska,  
 Kędy zostały trupy, ranni i zwaliska.

W ludziach straty nie było; ale wszystkie ławy  
 Miały zwichnione nogi, stół także kulawy,  
 Obnażony z obrusa, poległ na talerzach  
 Zlanych winem, jak rycerz na krwawych puklerzach,  
 Między licznemi kurcząt i jendyków ciała,  
 W których piersi widelce świeżo white tkwiały.

Po chwili w Horeszkowskim samotnym budynku,  
 Wszystko do zwyczajnego wracało spoczynku.



Mrok zgęstniał; reszty pańskiej wspaniałej biesiady  
 Leżą, podobne uczcie nocnej, gdzie na dziady  
 Zgromadzać zaklęte mają nieboszczyki.

Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki  
 Jak guślarze; zdają się witać wschód miesiąca,  
 Którego postać oknem spadła na stół, drżąca  
 Niby dusza czyscowa; s podziemu, przez dziury  
 Wyskakiwały nakształt potępieńców szczury:  
 Gryzą, piją; czasami w kącie zapomniana  
 Puknie na toast duchom butelka szampana.

Ale na drugim piętrze, w izbie którą zwano,  
 Choć była bez zwierciadeł, izbą zwierciadlaną,  
 Stał Hrabia na krużganku zwróconym ku bramie;  
 Chłodził się wiatrem, surdut wdział na jedno ramie,  
 Drugi rękaw i poły u szyi sfałdował,  
 I pierś surdudem jakby płaszczem udrapował.  
 Gerwazy chodził kroki wielkimi po sali;  
 Obadwa zamyśleni, do siebie gadali:  
 —Pistolety, rzekł Hrabia, lub gdy chcą pałasze.  
 —Zamek, rzekł Klucznik i wieś, oboje to nasze.  
 —Stryja, synowca, wołał Hrabia, całe plemię,

Wyzywaj—Zamek, wołał Klucznik, wieś i ziemie  
 Zabieraj Pan — to mówiąc zwrócił się do Hrabi —  
 Jeśli Pan chce mieć pokój, niech wszystko zagrabi.  
 Poco process, Mopanku! sprawa jak dzień czysta,  
 Zamek w ręku Horeszków był przez lat czterysta;  
 Część gruntów oderwano w czasie Targowicy,  
 I jak Pan wie, oddano władaniu Soplicy.  
 Nie tylko tę część, wszystko zabrać im należy,  
 Za koszta processowe, za karę grabieży.  
 Mówiłem Panu zawsze, processów zanichać,  
 Mówiłem Panu zawsze: najechać, zajechać;  
 Tak było po dawnemu: kto raz grunt posiadzie,  
 Ten dziedzic; wygraj w polu, a wygrasz i w sądzie.  
 Co się tycze dawniejszych s Soplicami sprzeczek,  
 Jest na to od processu lepszy scyzoryczek;  
 A jeśli Maciej w pomoc da mi swą różeczkę,  
 To my we dwóch, Sopliców tych porzniem na siczkę.

Brawo! rzekł Hrabi, plan twój, gotycko - sarmacki,  
 Podoba się mi lepiej, niż spór adwokacki.  
 Wiesz co? na całej Litwie narobim hałasu  
 Wyprawą, niesłychaną od dawnego czasu.

I sami się zabawim. Dwa lata tu siedzę,  
 Jakąż bitwę widziałem? s chłopami o miedzę.  
 Nasza wyprawa przecież krwi rozlanie wróży;  
 Odbyłem taką jedną w czasie mych podróży.  
 Gdym w Sycylii bawił u pewnego księcia,  
 Rozbójnicy porwali w górach jego zięcia,  
 I okupu od krewnych żądali zuchwale;  
 My zebrawszy na prędcę sługi i Wassale,  
 Wpadliśmy; ja dwóch zbojców ręką mą zabiłem,  
 Pierwszy wleciałem w tabor, więźnia uwolniłem.  
 Ach mój Gerwazy! jaki to był tryumfalny,  
 Jaki piękny nasz powrót, rycersko-feudalny!  
 Lud s kwiatami spotykał nas — córka książęcia  
 Wdzięczna zbawcy, ze łzami wpadła w me objęcia.  
 Gdym przybył do Palermo, wiadano z gazety,  
 Palcami wskazywały mię wszystkie kobiety.  
 Nawet wydrukowano o całym zdarzeniu  
 Romans, gdzie wymieniony jestem po imieniu.  
 Romans ma tytuł: *Hrabia, czyli tajemnice  
 Zamku Birbante—rokka*. Czy są tu ciemnice  
 W tym zamku? Są rzekł Klucznik, ogromne piwnice,  
 Ale puste! bo wino wypili Soplice.

— Dżokejów, dodał Hrabia, uzbroić we dworze,  
 Z włości wezwać Wassalów! — Lokajów? broń Boże!  
 Przerwał Gerwazy. Czy to zajazd jest hultajstwem?  
 Kto widział zajazd robić s chłopstwem i z lokajstwem?  
 Mój Panie, na zajazdach nieznacie się weale;  
 Wąsalów co innego, zdadzą się wąsale:  
 Nie we włości ich szukać, ale po zaściankach,  
 W Dobrznicy, w Rzezikowie, w Ciętyczach, w Rąbanka  
 Szlachta odwieczna, w której krew rycerska płynię,  
 Wszyscy przychylni Panów Horeszków rodzinie,  
 Wszyscy nieprzyjaciele zabici Sopliców!  
 Stamtąd zbiorę ze trzystu wąsatych szlacheiców;  
 To rzecz moja. Pan niechaj do pałacu wraca,  
 I wyśpi się, bo jutro będzie wielka praca;  
 Pan spać lubi, już późno, drugi kur już picje;  
 Ja tu będę pilnować zamku aż rozdaicje,  
 A ze słończkiem stanę w Dobrzyńskim zaścianku.

Na te słowa Pan Hrabia ustąpił s krużganku;  
 Ale nim odszedł, spójrzył przez otwór strzelnicy,  
 I widząc światła mnóstwo w domostwie Soplicy,  
 Illuminujcie! krzyknął, jutro o tej porze,

Będzie jasno w tym zamku, ciemno w waszym dworze.

Gerwazy siadł na ziemi, oparł się o ścianę,  
 I pochylił ku piersiom czoło zadumane;  
 Światłość miesięczna padła na wierzch głowy łysy,  
 Gerwazy po nim kryślił palcem różne rysy;  
 Widać że przyszłych wypraw snuł plany wojenne.  
 Cięża mu coraz bardziej powieki brzemienne,  
 Bczwładną kiwnął szyją, czuł że go sen bierze,  
 Zaczął wedle zwyczaju wieczorne pacierze.  
 Lecz między Ojczenaszēm i Zdrowaś Maryą,  
 Dziwne stanęły mary, tłoczą się i wiją:  
 Klucznik widzi Horeszki, swoje dawne Pany,  
 Ci niosą karabelle, drudzy buzdygany,  
 Każdy groźnie spojiera i pokręca wąsa,  
 Składa się karabellą, buzdyganem wstrząsa —  
 Za nimi jeden cichy, posępny cicić mignął,  
 S krwawą na piersi plamą. Gerwazy się wzdrygnął,  
 Poznał Stolnika; zaczął w koło siebie żegnać,  
 I ażeby tém pewniej straszne sny rozegnać,  
 Odmawiał litanią o czyscowych duszach.  
 Znowu wzrok mu skleił się, zadzwoniło w uszach—

Widzi tłum szlachty konnej, błyszczą karabelle:  
 Zajazd! zajazd Korelicz i Rymsza na czele!  
 I ogląda sam siebie: jak na koniu siwym,  
 Spodniesionym nad głową rapiérem straszliwym  
 Leci; rospięta na wiatr szumi taratka,  
 Z lewego ucha spadła w tył konfederatka;  
 Leci, jezdnych i pieszych po drodze obala,  
 I nakoniec Soplicę w stodole podpala —  
 Wtém ciężka marzeniami na pierś spadła głowa,  
 I tak usnął ostatni Klucznik Horeszkowa.



# OBJAŚNIENIA.





*Ostatni zajazd na Litwie.*

Za czasów Rzeczypospolitej Polskiej, exekwowanie wyroków sądowych było bardzo trudne, w kraju gdzie władza wykonawcza nie miała prawie żadnej policji pod swemi rozkazami, a obywatele możni trzymali nadworne pólki, niektórzy nawet, jak książęta Radziwiłłowie, kilkunasto tysięczne wojska. Żalujący więc uzyskawszy dekret musiał po exekucji udawać się do stanu rycerskiego, to jest do szlachty, przy której była także władza wykonawcza. Zbrojni krewni, przyjaciele i powietnicy ciągnęli z dekretem w rękę i w towarzystwie woźnego, zdobywali często nie bez rozlewu krwi dobra przysądzone żalującemu, które woźny legalnie tradował lub w possessyę oddawał. Taka exekucja zbrojna dekretu nazywała się *zajazdem*. — W dawnych czasach, póki szanowano prawa, najmożniejsi panowie nie śmieli się opierać wyrokom, rzadko zdarzały się zbrojne napaści, a gwałt prawie nigdy nie uszedł bezkarnie. Wiadomy z dziejów smutny koniec księcia Wasila Sanguszki i Stadnickiego zwanego djablem. — Zepsucie publicznych obyczajów Rzeczypospolitej namnożyło zajazdów, które ciągle mieszały spokojność Litwy.

Str. 9, w. 5. Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie.

Wszyscy w Polsce wiedzą o obrazie cudownym N. P. na jasnej górze w Częstochowie. W Litwie słyną cudami obrazy N. P. Ostrobramskiej w Wilnie, Zamkowej w Nowogrodzku, tudzież Żyrowickiej i Boruńskiej.

Str. 14, w. 5. Nim się Pan Wojski ubierze.

Wojski (tribunus) bywał niegdyś z urzędu opiekunem żon i dzieci szlachty w czasie pospolitego ruszenia. Od dawnego czasu urząd ten bez obowiązków stał się tytularnym. W Litwie jest zwyczajem, iż Osobom poważnym, nadaje się przez grzeczność jakikolwiek tytuł dawny, który używaniem uprawnia się. Mianują naprzykład sąsiedzi przyjaciela swego Obożnym, Stolnikiem lub Podczaszym, z razu w rozmowie tylko i w korespondencyi, a następnie nawet w aktach urzędowych. Rząd Rossyjski zabraniał podobnych tytułów, i pragnąłby je śmiesznością okryć a wprowadzić na ich miejsce, tytułowanie podług rang swojej hierarchji, do której Litwini dotąd wielki wstręt mają.

Str. 14, w. 19.

. . . Ale nie myśl wcale,  
Aby w domu Sędziego służono niedbale.

Rząd Rossyjski nigdy w krajach zdobytych nie obala od

vazu praw i instytucji cywilnych, ale je powoli ukazami podkopuje i roztacza. W Małorossyi na przykład, utrzymano aż do ostatnich czasów Statut Litewski, ukazami odmieniony. Litwie zostawiono całe dawne urządzenie Sądów cywilnych i kryminalnych. Obierani więc są po dawnemu Sędziowie ziemscy i grodzcy w powiatach, i Sędziowie główni w guberniach. Ale że appellacya idzie do Petersburga do mnogich różnego stopnia instancji, przy sądach więc miejscowych, ledwie pozostał cień dawniej powagi tradycyjnej.

Str. 16, w. 1. Podkomorzy już zjechał z żoną i s córkami.

Podkomorzy, niegdyś urzędnik znakomity i poważny, Princeps Nobilitatis, za rządu Rossyjskiego stał się tylko tytularnym. Sądził jeszcze niekiedy sprawy graniczne, ale nakoniec i tę część jurysdykcji utracił. Teraz zastępuje czasem Marszałka, i mianuje Komorników czyli mierniczych powiatowych.

Str. 19, w. 11. Wojski z Woźnym Protazym ze świecami w sieni.

Woźny albo generał, wybrany uchwałą trybunalską lub sądową ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromissye, robił wizye, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała.

Str. 28, w. 11. Biegali za nim wszyscy jakby za rarogiem.

Raróg, ptak z gatunku jastrzębia. Wiadomo że za jastrzębiami drobne ptastwo szczególnie jaskułki, tłumnie upędzają się. Stąd przysłowie : latać jak za rarogiem.

Str. 32, w. 13. . . . . Że Bonapart czarował.

Mnóstwo krąży powieści między prostym ludem rossyjskim o czarach Bonapartego i Suwarowa.

Str. 34, w. 21. Assessora z Rejentem wzmogła się uparta.

Assessorowie składają policję ziemską powiatu. Wedle ukazów czasem bywają obierani przez obywateli, czasem naznaczani od Rządu; ci ostatni zowią się koronui. Sędziowie appellacyjni zowią się także Assessorami, ale tu nie o nich mowa.

Rejenci aktowi zarządzają kancelariją, dekretowi piszą wyroki, wszyscy zaś mianowani z ręki Pisarzy sądowych.

Str. 45, w. 3. Cohy Rzekł Wojewoda Niesiołowski stary.

Józef hrabia Niesiołowski, ostatni Wojewoda Nowogrodzki, był prezesem Rządu rewolucyjnego w czasie powstania Jasińskiego.

Str. 45, w. 9. Białopiotrowiczowi samemu odmówił.

Jerzy Białopiotrowicz ostatni Pisarz W. X. Litewskiego, czynnie należał do powstania Litwy pod Jasieńskimi. Sądził więźniów stanu w Wilnie. Mąż dla cnot i patriotyzmu bardzo szanowany w Litwie.

Str. 47, w. 21. Wozny pas mu odwiązał, pas Słucki, pas lity.

W Słucku sławna była fabryka złotogłowu i pasów litych na całą Polskę; udoskonalona staraniem Tyzenhauza.

Str. 49, w. 2. Była to trybunalska wokanda...

Wokanda, wąska podługowata książeczka, na której spisywano nazwiska stron processujących wedle porządku aktoratów. Każdy Adwokat i Wozny musiał mieć takową wokandę.

Str. 51, w. 11. Bzucil w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.

Jeneral Kniaziewicz, wysłany przez armią włoską, złożył Dyrektorjatowi zdobyte chorągwie.

Str. 51, w. 12. Jak Jabłonowski zabiegł aż kędy pieprz rosł.

Książę Jabłonowski, dowodzący Legią Naddunajską, umarł w Saint Domingo, i cała prawie legia tam zginęła.

W Emigracji jest kilku Weteranów pozostałych z owej nieszczęsnej wyprawy, między innymi Jenerał Małachowski.

Str. 68, w. 18. I w organ i w rozliczne instrumenty grała.

W dawnych zamkach stawiano na chorach organ.

Str. 71, w. 7. I czarna mu polewkę do stołu podano.

Czarna polewka podana u stołu paniczowi starającemu się o rękę panny, oznaczała rekuzę.

Str. 81, w. 19. Lub z wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku.

Wiciny są to wielkie statki na Niemnie, które Liwini prowadzą handel s Prussami, splawiając zboża, i biorąc wzamian za nie towary kolonialne.

Str. 97, w. 9. Książę Dominik, kiedyś z nim razem polował.

Ks. Dominik Radziwiłł, wielki miłośnik polowania, — emigrował do Księstwa Warszawskiego, i wystawił własnym kosztem pułk jazdy, którym dowodził. Umarł we Francyi. Na nim zgasła linia męska Książąt na Olyce i Nieświeżu, największych Panów w Polsce i zapewne w Europie.

Str. 97, w. 11.

. . . z Jenerałem Mejenem.

Mejen odznaczył się w wojnie Narodowej za Kościuszki.  
Dotąd pokazują pod Wilnem okopy Mejenowskie.

Str. 114, w. 10. Panieuki za wysmukłym gonią borowikiem,  
Którego pieśń nazywa grzybów półkownikiem.

Znajoma w Litwie pieśń gminna, o grzybach wychodzących na wojnę pod wodzą borowika. W tej pieśni opisane są własności grzybów jadalnych.

Str. 132, w. 9. Nasz malarz Orłowski. . .

Znany malarz rodzajowy; na kilka lat przed śmiercią malować zaczął pejzaże. Umarł, niedawno w Petersburgu.

Str. 138, w. 14.

. . . . Dwie Pijawki,

Pies zowie się Sprawnikiem, a suka Srabczyna.

Rodzaj psów angielskich, małych i silnych, zwanych pijawkami, służy do łowów na wielkiego zwierza, szczególnie niedźwiedzia.

*Sprawnik* czyki kapitan *Sprawnik*, naczelnik Policji Ziemskiej — *Strabczy*, rodzaj Prokuratora rządowego. Urzędnicy ci mając często sposobność nadużywania władzy, w wielkiem są obrzydzeniu u obywateli.

Str. 144, w. 5. Ukolysany marzył o wilku żelaznym.

Podług tradycji, wielki Książę Gedymin miał sen na górze Ponarskiej o wilku żelaznym, i za radą Wajdeloty Lizdejki założył miasto Wilno.

Str. 144, w. 26. Ostatni król co nosił kołpak Witoldowy.

Zygmunt August był podniesiony starożytnym obyczajem na stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, przypasał miecz i koronował się kołpakiem. Lubił bardzo myśliwstwo.

Str. 145, w. 2. Czy żyje wielki Baublis.

W powiecie Rosieńskim w majątności Paszkiewicza Pisarza Ziemskiego, rośl dąb znany pod imieniem Baublisa, niegdyś w czasach pogańskich czczony jak świętość. We wnętrzu tego wygnilego olbrzyma, Paszkiewicz założył gabinet starożytności Litewskich.

Str. 145, w. 5. Czy kwitnie gaj Mendoga pod farnym kościołem.

Nie daleko fary Nowogrodzkiej, rosły starożytne lipy, których wiele wycięto około roku 1812.



Str. 145, w. 15. . . . . Wszak ów dąb gaduła  
Kozackiemu wieszczowi tyle cudów spiewa.

Ob. Poema Goszczyńskiego « Zamek Kaniowski. »

Str. 136, w. 2. Kołomyjek z Halicza.

Kołomyjki, piosenki ruskie w rodzaju mazurów polskich.

Str. 156, w. 16. Znał się dobrze na handlu zbożowym,  
Na wicinym. . .

Ob. przyp. do str. 81, w. 18.

Str. 157, w. 12. Miejsce zwane pokuciem.

Zaszczytne miejsce, gdzie dawniej stawiano bogów domowych, gdzie dotąd rossyanie zawieszają obrazy. Tam wieśniak litewski sadza gościa którego chce uczyć.

Str. 169, w. 20. Orzeł gdy mu dziób stary tak się w kabłak skrzywi,  
Że zamknięty na wieki już gardła nie żywi.

Dzioby wielkich ptaków drapieżnych z wiekiem coraz bardziej zakrzywiają się, i nakoniec wierzchnie ostrze zagiąwszy się, dziób zamyka, i ptak z głodu umierać musi. To mniemanie gminne przyjęli niektórzy Ornitologowie.

Str. 170, w. 2. . . . . Stąd to w miejscach dostępnych kiedy człowiek gości  
Nie znajdują się nigdy martwych zwierząt kości.

Rzeczywiście, nie ma przykładu, aby znaleziono kiedy szkielet zdechłego zwierza.

Str. 179, w. 2. . . . . A co fuzyjka moja, nie wielka ptaszczka.

Ptaszynki są to strzelby małego kalibru, w które kładzie się drobna kula. Dobrzy strzelcy s takich fuzji ptaka w lot trafiają.

Str. 184, w. 1. . . . . Zarzęło złoto kapać i błyskać na słońcu.

W butelkach wódki gdańskiej, bywają na dnie listki złota.

Str. 191, w. 14. . . . . Taki ziemi kawał,  
Któryby się wołowa skórą nakryć dawał.

Królowa Dydo kazała porznąć na pasy skórę wołową, i tym sposobem zamknęła w obrębie skóry obszerne pole, gdzie wystawiła Kartaginę. Wojski wyczytał opis tego zdarzenia nie w Encydzie, ale zapewne w Komentarzach Scholiastów.



---

CENA 2 TOMÓW ZŁO. POL. DWADZIEŚCIA.

---

# SPIS RZECZY.

---

	Strona
KSIĘGA PIERWSZA <b>GOSPODARSTWO</b> .....	5
KSIĘGA DRUGA — <b>ZAMEK</b> .....	55
KSIĘGA TRZECIA — <b>UMIEGI</b> .....	99
KSIĘGA CZWARTA — <b>DYPLOMATYKA I ŁOWY</b> .....	141
KSIĘGA PIĄTA — <b>KŁOTNIA</b> .....	193
OBIAŚNIENIA.....	241





